

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie	
Rocznie	6.
Półrocznie	3.
Kwartalnie	1.50
Miesięcznie	50
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu	
Rocznie	7.—
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od
godziny 11 do 3 i od 5 do 7.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ;	
Przed tekstem za wiersz petitu	50 k
W tekście (nadesłane)	1 rb
Po tekście	20 k

Numer pojedynczy 15 kop.

Następny numer ukaze się za dwa tygodnie w zwiększonej objętości.

Efemeryczne klęski.

Gdy w czasie poprzednich kampanji wyborczych ostatecznie już rozhulały się u nas, a przede wszystkim w Królestwie, t. zw. stronnictwa „narodowe“, t. j. partje, umiejące zręcznie kombinować wstecznicтво z demagogją nacjonalistyczną — w szeregach postępowych słyszeliśmy nieraz głosy, wyrażające zadowolenie z tego stanu rzeczy. — I owszem — mówiono — niech idą, niech się kompromitują.

Wprawdzie w odezvaniach tych czuło się coś z rezygnacji lafontenowskiego lisa, gardzącego zieleniemi winogronami; ale owe pocieszanie się było, bądź co bądź, bardziej usprawiedliwione. Przedewszystkiem sama ordynacja wyborcza oraz instrukcje i wyjaśnienia administracyjne paraliżowały, jak zresztą paraliżują dotąd, wszelką szerszą akcję żywiołów demokratycznych, postępowych; pozatem udaremniała ją również naturalna, porewolucyjna reakcja społeczeństwa.

O ile zarządzenia biurokratyczne od zbyt wielu zależą czynników, by móc przewidywać bliższą lub dalszą zmianę ich kierunku, o tyle z góry wiadome było, iż na reakcyjny nastrój opinji najlepszym będzie lekarstwem popis publiczny eksploatujących go stronnictw.

I rzeczywiście. Występy dumskie sił narodowo-demokratycznych z domieszką ugodową w oczach społeczeństwa oświeciły partje owe daleko skuteczniej, niżby to uczynić zdołały najwyższe polemiki pism i agitatorów obozu postępowego. W obronie polityki kół polskich dziś występują tylko jeszcze z urzędu dwa dzienniki: „Gazeta Warszawska“ i „Słowo“, organy mało przez kogo czytane i nie posiadające żadnego zgoła wpływu na szersze masy.

Reprezentacja polska skompromitowała się i utraciła sympatje nawet tych kół, które jej początkowo wyraźnie sprzyjały.

Perspektywa wybrania tych samych „figurantów“ (jak nazywa p. Straszewicz posłów endeckich) jest niewątpliwie jedną z najważniejszych przyczyn zupełnego zlekceważenia wyborów przez ludność Warszawy. Dzięki temu uzyskali wypadkowo w stolicy Polski przewagę — żydzi.

Jak wiadomo, nie tylko Warszawa, ale również i Wilno znalazło się niespodzianie na łasce żydów. Dwa te wypadki niektóre organy prasy identyfikują. Wszelako podobieństwo daje się zauważyć tylko w pewnych granicach — a mianowicie w powszechnej względem wyborów obojętności i ogólnem niezadowolaniu z *takiego* parlamentu, jaki dać może dzisiejsza ordynacja. Istnieją wszakże pozatem pewne motywy mniej lub więcej lokalne, partyjno-wileńskie, specyficzne. Za moment partyjny należy tu uważać sztandar, pod którym Demokracja Narodowa prowadziła na fotel poselski ks. Maciejewicza. Sztandar ten okazał się w rezultacie płachtą, na której wypisywać można najfantastyczniejsze obietnice, biorące na lep naiwny tłum.

Pamiętamy wszyscy tę wściekłą, nie przebierającą w środkach walkę z kandydaturą p. Wróblewskiego. Nie było kłamstwa, którego by nań nie rzucano, nie było oszczerstwa, którem nie obłożono by jego stronników. A wszystkie kalumnie dobierano tak, by nie przerastały inteligencji przeciętnego kołtuna, by godziły się z jego przesadami i filozofją — chamstwem. W tym samym duchu reklamowano kandydata Demokracji Narodowej, który miał w Petersburgu cudów dokonywać. Niech się tylko w Dumie pokaże, niech przemówi, a wnet wszystkie zabrane kościoły prawym właścicielom wróci, „litwo-manstwo“ zgęmbi, prawa języka polskiego odzyska, swojską biurokrację na urzędach osadzi etc., etc.

I pojechał poseł wileński, i wrócił... A tu jednak nic się nie zmieniło. Wprawdzie pisma drukowały wszystkie nieliczne jego mowy, ale z nich pokazało się, że zabierał on głos w sprawach, często daleko mocniej, trafniej, bardziej przekonująco oświeclanych przez posłów zupełnie nam obcych.

Czyż po tem można było oczekiwać, że wyborca polski da się jeszcze raz wziąć na podobny kawał?

Nie dlatego, że — jak skądinąd słusznie podnosi p. Dmowski — przepisy biurokratyczne ograniczają agitację; na to możnaby znaleźć sposób. Ową agitację udaremniła przedewszystkiem taktyka naszych własnych polityków. Wciąż rozpowszechniali oni przesąd, jakoby polityka była jakąś sztuką specjalistów; czynili wszystko możliwe, by niepowołany tłum od niej odsuwać, by trzymać go w nieświadomości *hokusów-pokusów*, wyprawianych rzekomo bardzo owocnie po przedpokojach petersburskich. Wreszcie dopięto tego, że istotnie przeciętny drobny mieszczanin wileński nabrał przekonania, iż on do polityki nic nie ma, to nie jego sprawa, to rzecz wielkich panów. Aż tu raptem wołają nań: głosuj!

Głosować? A jemu co do tego. Głosujcie — to wasza sprawa,

Rezultat tego?... Żydzi są panami Wilna. Przewrotni, prawda? Otóż nieprawda! Tylko że żydom wcale do głowy nie przychodzi, by kogokolwiek, kiedykolwiek zniechęcać do interesowania się polityką, czyli tą właśnie dziedziną akcji społecznej, która decyduje o losach ogółu, a która poniekąd winna być odzwierciedleniem opinii powszechnej. Podczas gdy działacze żydowski tłum swój wciąż informują, kształcą go politycznie, budzą zainteresowanie, prowadzą polscy robią miny bonzów, osłaniają się dykami kadzidel najmitów dziennikarskich i albo milczą, albo też za pośrednictwem tychże najmitów wygłaszają uroczyste kazania, w których zdrowego, prostego sensu doszukać się nie można.

Dziś taktyka ta wydała owoce.

Byłyby one bardzo gorzkie, gdyby nie to, — że są to owoce sezonowe. Miną. Żyjemy w okresie przejściowym. Parlament rosyjski tak, jak jest, nie okazał się narzędziem skutecznym dla zreformowania i odrodzenia państwa. Żywioły, którym historia nakazuje to uczynić, odwracają się od niego. To jednak nie dowód, by już nie miały nigdy znaleźć odpowiedniego dla celów swych oręża.

*
* *

Listy z Warszawy.

Bezpodstawny alarm.

Nowa ordynacja wyborcza, obowiązująca w całym państwie, a polegająca na wymaganiu podwójnej inicjatywy ze strony obywateli, chcących brać udział w wyborach do Dumy, z góry kazała spodziewać się niespodzianek. Atoli niespodzianką był kompletny rezultat ostateczny sformowania list wyborczych, kiedy po upływie ostatniego terminu składania deklaracji, okazało się, że w liczbie prawyborców przeważają w sposób absolutny — Żydzi.

Z pierwszym okrzykiem alarmu wystąpiła „Gazeta Warszawska“, która zawsze ma jeden i ten sam pogląd na kwestję opinii politycznej Warszawy. Ten wzruszająco niezmienny pogląd organu p. Dmowskiego na tem polega, że nie wierzy wogóle w zdolność Warszawy, a za nią i całej Polski, do posiadania jakichkolwiek opinii o swych własnych sprawach. Przekonania polityczne nie istnieją, krytycyzm społeczno-polityczny równa się zeru, tęsknot i pragnień społeczeństwo polskie niema żadnych, poza temi, które są ujęte w ramy programu endecko-realnego. Społeczeństwo, według tego poglądu dzieli się na Polaków i Żydów. Pierwsi z zamkniętymi oczami, wiernie i bezkrytycznie losy swe oddają p. Dmowskiemu i jego przyjacielom; drudzy chcą zguby p. Dmowskiego a z nim i polskości — w najszerszym słowa tego znaczeniu — którą, jako atlas strop niebieski, p. Dmowski na swych silnych barkach podtrzymuje.

Obraziłbym publicystów z „Gazety Warszawskiej“ posądzeniem o szczerłość takiego poglądu, więc, z dwojga złego biorąc mniejsze, wolę obrazić ich oskarżeniem o nieszczerłość, mój Boże! tak praktykowaną w pożytecznej dla siebie akcji. Tym fałszem popularnym operując, endecja zdołała już wiele zdziałać przy pierwszych, drugich i trzecich wyborach. Więcej, zdołała pośrednio sprowadzić rozłam na lewicy i ugruntować w nawińszych sferach społeczeństwa mniemanie, że o innym jego podziale mowy być nie może.

G. DANIŁOWSKI.

5)

Marja Magdalena.

FRAGMENT.

Po skończeniu mycia Debora wyjęła szkatułę z barwiczką, lecz pani kazała ją zamknąć i podać zwykle drewniane sandały, złoty łańcuszek na szyję i niebieską z rozciętemi rękawami suknię, która się spinała złotą klamrą na lewym ramieniu i wolno spadała na piersi i plecy, odsłaniając zlekka kibić powyżej stanu.

— A dziś nikt nie był? — spytała.

— Był jakiś człowiek z Galilei.

— Z Galilei — ucieszyła się Marja przypomnieniem pięknej krainy dzieciństwa i wczesnej młodości. Gdzież on?

— W ogrodzie, z Martą i Łazarzem — odparła Debora, wiążąc w kokardkę wstążki sandałów.

— Posprzątaj — rzuciła Marja i zasłaniając się przed ośpiejącym słońcem wachlarzem z palmowe-

go liścia, wybiegła po kamiennych stopniach szukać Galilejczyka.

Usłyszawszy ożywione głosy, skierowała się w stronę cienieści Magnolji i zdaleka zobaczyła sylwetkę zasłuchanej Marty, zgarbioną postać opartego poważnie o pień Szymona, leżącego na macie błędego Łazarza i żywe giesty wielkich rąk siedzącego tyłem mężczyzny.

Zbliżyła się i zadrżała do głębi; poznała wielką czaszkę i szerokie bary w łataniej, grubej, spłowiałej od słońca wielbłądziej opończy: był to Judasz z Kerjot, którego nie widziała od czasu, jak ją tajemnie opuścił.

Łazarz, dostrzegłszy Marję, uśmiechnął się życzliwie, obejmując zachwyconym wzrokiem wdzięczną jej postać. Obejrzał się też Judasz, podniósł się i pozdrowił słowami:

— Wiekuisty z tobą!

— Niech cię Wiekuisty błogosławi — odparła według zwyczaju Marja głosem zacichłym z niepokojem.

— Siadaj — zapraszała siostrę Marta — Judasz ciekawe nowiny przynosi. Marja przysiadła posłusznie, zasłaniając długimi rękami przejrzyłość oczu.

Życie zaprzeczyło wrzuszająco stałemu pogładowi endecji. Idee radykalne, oparte na gruncie czysto polskim rozwinęły się znakomicie, ogarniając całe szerokie warstwy społeczeństwa. Szereg sił wybitnych odpadł od samej endecji, tworząc antyklerykalną frondę i radykalną secesję. Smutne resztki świetnej niegdyś endecji ugrzęzły w ugodzie, aby za jakąkolwiek cenę istnienie swe ratować.

Nowe ustosunkowanie sił nastąpiło i wśród Żydów. Pomimo najtrudniejszych w świecie warunków, asymilacja mechanicznie i wbrew akcji przeciwdziałającej, nowe uczyniła postępy. Jeżeli Żydzi oddawna nie tworzą u nas owej solidarnej i jednomyślnej grupy, jaką chce z nich uczynić legiendą, sytuacja w chwili obecnej zmieniła się zasadniczo. Syonizm z jednej strony, rusyfikatorsko-odrębnościowy nacjonalizm z drugiej — dokonały bezwzględного podziału Żydów zamieszkałych w Polsce na trzy sprzeczne i odrębne obozy, między którymi panuje antagonizm, jaskrawo zaprzeczający legiendzie o solidarności. Istnieje jeszcze olbrzymia masa ciemnych „chasydów“, nie biorących czynnego udziału w życiu publicznym i podlegających wpływowi bezpośredniemu rabinów. Przyjęło się mniemanie, że „chasydzi“ stanowią element skłonny do przyjęcia idei, szerzonych przez nacjonalistów żydowskich. Mniemaniu temu zaprzeczyły wyraźnie rezultaty wyborów do warszawskiej gminy żydowskiej, w których „chasydzi“ zawarli blok z postępowcami-asymilatorami.

To wszystko nie przeszkadza endecji twierdzić w dalszym ciągu, że poza podziałem Warszawy na Polaków i Żydów, inny podział przekonań u nas nie istnieje. Nie brak i humorystyki w uważaniu każdego Polaka, kontynuującego linię myślenia Ostrorógów, Fryczów Modrzewskich i Kołłątajów, za Żyda, czy „Żyda honorowego“, jak się tu ktoś wyraził!

W ten sposób rozumując, ma rację „Gazeta Warszawska“, gdy pisze:

„Od tego upokarzającego poczucia, że o wyborach ze stolicy kraju pozwoliliśmy decydować innym, że mandat z Warszawy, posiadający bądź co bądź duże znaczenie moralne z rąk wypuścili-

śmy wskutek własnej apatii i braku poczucia obowiązku, od tego upokorzenia nikt i nie uratować nas już nie zdoła“.

* * *

Przyjrzyjmy się bliżej sytuacji.

Tablica, łącząca dane, dotyczące liczby ludności i liczby prawyborców w piętnastu okręgach warszawskich, przedstawia się w sposób następujący:

Okręg	Ludności		Prawyborc.	
	chrześc.	żydowsk.	chrz.	żyd.
I zamkowy	35392	4310	1978	330
II soborowy	24167	24899	577	1358
III mostowski	32472	41501	590	3415
IV białeński	3399	49945	52	5402
V powązkowski	31553	45447	160	1959
VI towarowy	50353	16608	335	2121
VII wolski	47528	30015	1582	2462
VIII jerozolimski	31470	36101	1968	3612
IX łazienkowski	29162	2600	1014	196
X nowoswiecki	37796	3292	2814	533
XI mokołowski	32657	2480	3752	478
XII centralny	14609	10418	1481	1933
XIII aleksandryjski	48510	8530	3110	697
XIV nowopraski	28040	10116	787	610
XV staropraski	22448	11720	575	612

Łącząc z powyższymi danymi liczby wyborców z każdego okręgu, dowiemy się, że o ile wszyscy prawyborcy pójdą do urny, w kolegium

Dopiero, gdy Judasz zaczął mówić, obrzuciła go szybkim ukradkowym spojrzeniem. Nie zmienił się wiele: była to ta sama opalona od słońca i zawiei ruchliwa, mocna twarz o głębokich nieokreślonej barwy oczach, patrzących przebiegle i nieco zuchwale z pod krzaczastych brwi: duży haczykowany nos nadawał jej wyraz drapieżny, wydatne o zmysłowych wargach szczęki, capia broda, wystające guzy na czole i zwichrzone nad nim w rogach rude włosy czyniły go podobnym do Satyra. Wrażenie to potęgowały w grubych sandałach, jak w kopytach, stopy włochate i tak zapyłone, że nie znać było rzemieni.

— Z nad cichego jeziora Gennezar — ciągnął Judasz — podnosi się nowa światłość, dziś tylko jakoby jasnej zorzy rospostarcie, ale jutro może ogień, miedziana chmura, grom i wstrząśnienie ziemi.

— Podobno niezwykły prorok objawił się w naszych stronach — syn, pamiętasz, Józefa cieśli i ślicznej Marji, córki Anny i Joachima, nazarejczyk imieniem Jezus — objaśniał Marję Łazarz.

— Duchy gniewliwe i czarty wymiata — dodała znacząco i z westchnieniem Marta.

— Czy nie jak Barras — przypomniało się

Marji. A gdy Judasz zaświadczył, iż sam widział, jak z domu uzdrowionej opętanej wybiegł szatan w postaci urodziwego młodzieńca, który się zakradł do niej, gdy szła po wodę, płocha wesołość zagrała w jej oczach na myśl o tem, ile tego rodzaju opętań doznała na kwiatnych łąkach w pobliżu Magdali.

— Uzdrowia lunatyki, trędowate i powietrzem ruszone — zapalał się Judasz. — Niewiasta od lat wielu na płynienie cierpiąca stała się zdrową od mocy, która zeń wyszła, gdy się dotknęła podółka szaty jego; przypowieściami myśli swe wyklada, ubogi lud zbiera, naucza i wodą chrzci...

— Jak Jan — zaczął Szymon.

— Jan! — przerwał porywczo Judasz — co Jan? — Narzekać i wciąż jeno strofować potrafił, kłeski wróżyć — jakby nie dosyć i aż nadto zaznał ich lud Izraelski — płaszczy ostatni z grzbietu zdał, w zgrzebnym wór odział, na puszcę w cierniowy szalas zapędził i szarańczę naczco łykać kazał! — Jezus wodę w wino na radość weselników w Kanie galilejskiej przemienił, grzechy odpuszcza, trosk nie mnoży — choć nie ze spokojem, ale z mieczem i sądem, jak powiedział — przybył na ziemię. W panowanie ja

wyborczem, składającym się z 83 osób, zasiądzie żydów pięćdziesięciu.

Przy zaiste uproszczonym rachunku „Gazety Warszawskiej“ i „Dnia“, który, w braku własnych myśli, powtarza — a nuż się opłaci! myśli p. Dmowskiego — sprawa jest przesądzona. Pięćdziesięciu wyborców żydów narzuci mniejszości swego faworyta, który zaniesie do Petersburga swoje pejsy i swoje polakożercze instynkty. Jakżeby inaczej?

* * *

Niezależnie od całego szeregu okoliczności i niezależnie od wpływu tej sytuacji na sam wybór posła od Warszawy, nienormalność stosunku charakteru prawyborców do charakteru ludności jest uderzająca. Nie przesądzając znaczenia politycznego tego faktu dziwne jest, że Warszawa, licząca przeszło 60 proc. mieszkańców polaków wyznań chrześcijańskich, może tak nieznaczną ilość przedstawicieli tych mieszkańców mieć w kolegium wyborczem. Podobno ludność żydowska okazała większe zainteresowanie dla wyborów, niż obywatele wyznań chrześcijańskich, do czego przyczynić się miała agitacja nacjonalistycznej prasy żargonowej, która często, szczegółowo i dokładnie informowała, na czem formalności składania deklaracji polegają. Pozatem znaczna liczba obywateli żydów została wciągnięta mechanicznie na listę prawyborców, z racji posiadanych przez nich patentów handlowych.

Karygodna obojętność ludności rdzennej była więc pośrednią, a nowa ordynacja wyborcza przyczyną bezpośrednią sytuacji anormalnej i logicznie niezrozumiałej.

* * *

Inna rzecz, czy sytuacja ta rzeczywiście „zgotowała nam chwile, po których przeżyciu ludziom, posiadającym jaką taką świadomość narodową, za prawdę „zbieleje włos“.

Przedewszystkiem stosunki czysto cyfrowe. Rachunek „Gazety Warszawskiej“ opiera się na przypuszczeniu, że wszyscy prawyborcy pójdą do

urny. Otóż w obecnym nastroju apatycznym nie można przypuszczać, że tak będzie. Jeżeli logicznie pewne jest, że głosować będą ci, którzy zdobyli się już na trud złożenia deklaracji w magistracie, nie zapominając, że takich jest garstka, kiedy lwia część prawyborców wciągnięta została na listę mechanicznie. Stosunki więc cyfrowe ulegną jeszcze znacznym przeobrażeniom i z liczby prawyborców nie można wyprowadzać wniosków o liczbie głosów.

Nie to jednak jest najważniejsze.

Przypuśmy, że rzeczywistość odpowie obliczeniom „Gazety Warszawskiej“. Dwie przewidywać należy alternatywy: nowe ustosunkowanie sił (jeżeli przyjąć i punkt widzenia „Gazety Warszawskiej“) albo wpłynie na stawianie kandydata i rozpoczęcie agitacji wyborczej, albo nie.

W tym ostatnim wypadku głosy „polskie“ podzielią się pomiędzy kandydatów reakcyjnego i postępowego, w stosunku którego dziś określić jeszcze nie można, ale który wypaść może na korzyść radykalnego, jeśli secesjoniści wytrwają w obranej drodze. Kandydat radykalny otrzyma zrozumiałe poparcie głosów „żydowskich“ i reprezentować będzie Warszawę w Petersburgu kandydat postępowy, napewno dobry polak, mogący wylegitymować się z pokaźnej liczby przodków, którzy żyli i trwali w wierze katolickiej i to nie gorzej, niż przodkowie p. Dmowskiego. Tych zalet nie pozbawi go poparcie żydów, którzy, jako obywatele, więcej oczekiwać odeń będą mogli, niż od żydożerczego narodowego demokracji. Wierzę, że p. Dmowskiemu wtedy „zbieleje włos“.

Teraz weźmy pod uwagę drugą alternatywę, bardzo prawdopodobną, choć znajdującą tu raz po raz zaprzeczenie.

Sfery żydowskie nacjonalistyczne, syonistyczne lub nacjonalistyczno-syonistyczne, pod wpływem „litwackiej“ prasy żargonowej wystawiają własnego, specyficznie żydowskiego kandydata, usposobionego dla sprawy polskiej obojętnie, żeby nie powiedzieć wrogo. Wysunięcie kandydatury takiej z łona sfery nacjonalistyczno-litwackiej jest w zasadzie możliwe. Śmieszne natomiast jest przypuszczenie choćby na chwilę, że kandydat tej

obietuje oddać nie tym, co wiążą brzemiona ciężkie i nieznośne na karki nasze, a sami palcem nie ruszą, ale właśnie pokrzywdzonym, prześladowanym — nam, którymi pomiata i kapłan i zimno uśmiechnięty Saduceusz i lada legjonista, jak psa, nogą potraçał..

— Unosisz się, nadto się unosisz, Judaszu — wtrącił surowo Szymon. O! podniósł w górę rękę i siwą brodę, i ciągnął głosem rwącym się ze wzruszenia — nie wzbudza nam już dawno wielkich proroków Wiekuisty — ale jawią się zato coraz liczniej szalbierze, co tumult czynią i wzruszają pospólstwo, oszuści i wichrzyciele — rozmnożyła się nieprawość, jak kąkol po ziemi naszej, skąd wiesz, że jest tym sprawiedliwym, za którego się wydaje? Zali jest mało takich, którychby należało przy dźwięku kozich rogów i kapaniu czarnych gromnic w kadzi krwi przekląć i z pośrodku ludu na wieki wytrącić...

— Cuda czyni — oburknął Judasz.

— Ale czyją mocą: Pana? czy księcia Djabelskiego?

Judasz popadł w posępną zadumę. W głowie jego kształtowała się mętna myśl, że obojętne jest czyją mocą, aby swego dopiąć, a Szymon ciągnął tymczasem:

— Wątpliwem mi się wydaje to wszystko; rozbieraj pismo, a obaczysz, że z Galilei prorok nie powstaje. Znasz gadkę: Możeż z Nazaretu być co dobrego!

Judasz się ocknął, zamyślił się i nagle zacytował z patosem:

— I ty Betlehemie, ziemio judzka, żadną miarą nie jesteś najmniejsze między książęty judzkimi, albowiem z ciebie wynijdzie wódz, który rządzić będzie mój lud Izraelski! — i właśnie z Betlehem, dokąd udał się Józef, by być popisan według bezbożnego dekretu Cezara — wypełniły się dni Marji, aby porodziła tego syna... — Z Betlehem tedy pochodzi Jezus. Wiedźcie jeszcze, dodał tajemniczo, potrząsając nerwowo ramieniem, — z domu Dawidowego, jakęśmy wyliczyli i doszli — jest On.

Ostatnie słowa wywarły silne wrażenie: Łazarz wsparł się na łokciu, jakby usiłując się dźwignąć, a twarz jego stała się śmiertelnie blada, Szymon zastygł, jak stał, z podniesioną do góry głową i zdawał się wpatrywać spłowiałymi oczyma w dalekie niebieskie widziadło, Marta niespokojnym wzrokiem biegała po twarzach mężów, szukając prawdy.

(c. d. n.)

kategorji może znaleźć cień solidarnej aprobaty żydów warszawskich. Ze wstrętem, nie mniejszym niż ze strony ludności rdzennie polskiej, spotka się on wśród żydów postępowych i nawet wśród „chasydów“, nie wrażliwych na szczucia endecji antysemitycznej.

Zanim jeszcze przemówili postępowcy żydowscy, „chasydzi“ głos już zabrali. Ukazała się mianowicie w piśmie żargonowem, jedynem nie-litwackiem, „Najes“, odezwa, ostrzegająca żydów przed wystąpieniem niesolidarnem z interesami Polski. Wszystkie niemal dzienniki warszawskie odezwę tę powtórzyły.

Odezwa pisma żargonowego bez wpływu nie pozostanie, a tymczasem wymownie charakteryzuje nastrój najciemniejszej masy żydowskiej.

Postępowa inteligencja żydowska nie wystąpi w sposób, niezgodny z interesami Polski postępowej i wszelka agitacja będzie tu zbędna. Nieraz już te sfery znajdowały sposobność wypowiedzania się i ich stanowisko dyskusji żadnej podlegać nie może. Z tej strony, ze strony więc najliczniejszej części prawyborców żydów, kandydat specyficznie żydowski żadnego poparcia oczekiwać nie może.

Słowem, w razie wystawienia jakiegokolwiek kandydatury żydowskiej, kandydatura ta napotka trudności zasadnicze ze strony samych żydów.

Gdyby się sprawdziły przepowiednie wystawienia kandydatury przez żydowskich nacjonalistów, niebezpieczeństwo wynikłoby stąd nie dla endecji, jak przypuszczać każe „Gazeta Warszawska“, ale dla obozu radykalnego właśnie. Kandydatura postępową zostałaby pozbawiona poparcia części głosów żydowskich, które pociągnęłaby bądź agitacja litwacka, bądź własny brak krytycyzmu. Postępowiec polski mógłby być również zdystansowany przez kandydata sojuszu endecko-ugodowego. To samo niebezpieczeństwo mogłoby grozić kandydaturze postępowej, gdyby — jak o tem przebiekają — kandydatura skrajna miała pozyskać część głosów żydowskich.

Jeżeli powtarzamy tu rozmaite horoskopy przedwyborcze, czynimy to aby wykazać, jak dalece różnorodność przekonaniowa panuje wśród domniemych prawyborców żydów i jak dalece fantastyczne są koszmary endecji.

Nie można się łudzić. Nie od niebezpieczeństwa żydowskiego „bieleje włos“ panu Dmowskiemu. „Włos mu bieleje“, bo widzi, że skończyło się w Warszawie panowanie wszechwładnej endecji, której cyplomacja nieudolna przykrzyła się większości społeczeństwa, odmawiającego jej już swego poparcia. Nowe ustosunkowanie sił wyborczych niekoniecznie musi tym razem zwycięstwo przynieść postępowcom. Przeciwnie, może chwilowo wyjść im na niekorzyść. Jeżeli jednak publicyści z „Gazety Warszawskiej“ potrafią i głębiej wczuć się w nastrój społeczeństwa polskiego, zaprawdę — i bez cyfr, które „Gaz. Warsz.“ operuje — dość jest przyczyn, aby „włos im zbieleł“.

P. M.

Po wyborach belgijskich.

X.

3) Mówiliśmy dotychczas o działalności wśród rolników. Powiedzmy z kolei o pracy wśród robotników. Praca tu trwała oddawna. Szkoła, związki

parafjalne, propaganda wyznaniowa kierowały zawsze robotnika do odrębnych organizacji robotniczych-katolickich. Jednak ruch ten był słaby. Według zapewnień działaczy katolickich jeszcze w roku 1904 liczono zaledwie 14,759 robotników, zorganizowanych w związkach zawodowych chrześcijańskich. Dopiero olbrzymie postępy socjalistycznego ruchu zawodowego przeraziły kleryków. Na kongresie w Malines postanowiono prowadzić propagandę syndykalistyczną w związkach młodzieży szkolnej, w stowarzyszeniach pomocy wzajemnej w szkołach robotniczych; postanowiono zakładać syndykaty kobiece. Postanowiono osadzić w każdym dekanacie kościelnym, a conajmniej w każdym powiecie, agitatora urzędowego (*propagandiste autorisé*). Agitatorzy powinni pozostawać w stałym porozumieniu i dążyć do organizowania federacji regionalnych. Słowo prędko stało się czynem. Wystarczy wziąć do ręki ostatnie sprawozdanie „sekretarjatu ogólnego Unji zawodowych chrześcijańskich“*), aby przekonać się o postępach ruchu. Według sprawozdania ilość syndykatów w ośmiu prowincjach Belgji czyni: 782 (poza 226 syndykatów robotników rolnych, wychodzących na zarobki letnie do Francji). Syndykaty te liczyły w 1910 r. 56,986 członków, wraz z obięzysasami 71,235). Najwięcej zorganizowanych robotników chrześcijan liczy przemysł tkacki—13,539 (78 syndyk.), koleje żelazne—7,740, przemysł metalowy—4,448, górniczy—5,805, drzewny—4,278, budowlany 3,250 i t. d. W roku 1904 było zorganizowanych 14,000 robotników, 1906—20,322, 1909—40,537, 1910—49,478. W tym roku zorganizowano obięzysasów, skutkiem czego ilość zsyndykowanych robotników urosła nagle do wysokości 71,235.

Na czele ruchu znajduje się ojciec Rutten (des Frères Prêcheurs), działacz niezmordowany, organizator pierwszorzędnym. Jego dziełem jest rozwój syndykatów tkackich, które w ciągu jednego roku (1909 — 10) wzrosły z 41 do liczby 65 i z 5257 do 10040 członków. On jest sekretarzem generalnym Unji związków zawodowych chrześcijańskich z siedzibą w Gandawie. On jest głównym reżyserem całej tej złożonej machiny, obejmującej kraj cały. Poucza, pisze, organizuje. Powołał do życia dwadzieścia kilka czasopism zawodowych. Wykształcił i zorganizował armję agitatorów syndykalistycznych, sekretarzy związków, cały sztab generalny armji syndykalistów, organizujących strejki, obrony przeciwko lokautom, porozumiewających się z fabrykantami. Myliłby się, koby sądził, jak mówi o. Rutten, że związki zawodowe chrześcijańskie są związkami żółtych (łamiestrejków). Strejk tkaczów w Ingelmünster kosztował federację 70,000fr., strejk i lokaut w Eecloo—30 tys. fr., lokaut prądaków lnianych — 73 tys. fr. Sekretarjat generalny stara się wszędzie zakładać sądy rozjemcze (od r. 1907) stałe, złożone z przedstawicieli fabrykantów i robotników. Stosunki z socjalistami są przeważnie wrogie. Fabrykant popiera „chrześcijan“ przeciwko socjalistom. Jednak wielkie strejki prowadzone są niekiedy łącznie. Związki chrześcijańskie działają w kierunku zgody, porozumienia klasowego, nie uznają walki klas.

Szkoła, kooperatywa wiejska, związek robotniczy — oto trzy ogniska wpływów klerykalnych,

*) *Rapports général sur le Mouvement syndical Chrétien en Belgique*, Gandawa 1911 (jest to dziesiąte sprawozdanie sekretarjatu ogólnego).

organicznych. Każdy z nich stanowi świat olbrzymi, jakże złożony — zabiegów i pracy. Koło każdego sieć organizacji pomocniczych. Szkoła — to nie tylko lokal, w którym otrzymują naukę elementarną dzieci, „w wieku szkolnym“. Nasamprzód patronat dla chłopców od 10 do 20 lat. Istnieje w każdej gminie, w osobnym lokalu, pod opieką proboszcza. Członkowie płacą składki (5—25 centymów na miesiąc.) Rząd udziela zapomóg pod pozorem walki z alkoholem. Do patronatów należą dzieci bez różnicy stopnia zamożności. Chłopcy uczęszczać są obowiązani regularnie na nabożeństwa, spowiadać się co miesiąc. Niedziele spędzają obowiązkowo od godziny 8 i pół rano do 9 i pół wieczorem w domu patronatu. Proboszcz odwiedza chłopców często w domu. Chłopiec „patronowany“ nie wychodzi tedy do 20 roku życia z pod wpływu kościoła. Poza pracą obowiązkową w szkole i w warsztacie zna tylko patronat: tu się uczy, tu słucha wykładów, wiele się modli, tu się też bawi. Patronatów liczą w Belgji 1124; należy do nich 157,800 młodzieży (96 tys. chłopców, 61 tys. dziewcząt). W Brukselli jest 39 patronatów, w Gandawie—31, w Liège—62.

Nie wystarcza nauka religji, udzielana w szkole, nie wystarcza patronat. Istnieją przy kościołach specjalne szkoły dla nauczania katechizmu, apologetyki, przygotowania eucharystycznego. „Panie pod wezwaniem świętej Juljanny“ zajmują się dziećmi robotniczymi; inne organizacje uczą wieczorami młodych robotników; są kursy specjalne dla niedorozwiniętych umysłowo. Zaprawia się dzieci do częstych, możliwie, co tygodniowych spowiedzi. Zachęca się do uczęszczania na mszę co dnia; dzieci, asystujące wytrwale, otrzymują podarki (ksiądz Honnay na kongresie w Mechelu). Kursy apologetyki prowadzą konfraternie Najświętszego Sakramentu, konferencje św. Wincenego à Paulo.

W roku 1910 powołano do życia Ligę Szkolną Katolicką (z inicjatywy kardynała Mercier'a), która specjalnie zajmuje się propagandą, ześrodkowuje działalność poszczególnych organizacji szkolnych: informuje je, nadaje propagandzie jednolity kierunek. Liga obejmuje ośm sekcji (religijną, pedagogiczną, finansową etc.). Z Ligi wyszedł (1909) wniosek o zrównaniu szkół wszelkiego typu pod względem praw do zapomogi rządowej (wniosek Schollaerta p. wyżej). Liga wydaje własne pismo kwartalne za cenę jednego franka rocznie.

Niezliczone też są organizacje młodzieży poza szkolne. Jest ich grup czternaście („Congrégation de la Très Sainte Vierge“ w Brukselli, w Gandawie, w Liège, w Courtai etc) „C. d. Notre Dame de la Visitation“, „C. d. N. D. de la Présentation“, „C. d. N. D. du Bon Conseil“, „Kongregacja Niepokalanego Poczęcia“, „Świętego i Niepokalanego Serca Marji“ *).

Kooperatywa — to organizm złożony. Duchowieństwo pracuje nad kształceniem rolników (23 szkół i kursów w szkołach średnich) i dziewcząt wiejskich (17 szkół gospodarstwa domowego katolickich, utrzymywanych z funduszy państwowych, wiele szkół rządowych). Od roku 1890 — 3509 dziewcząt otrzymało dyplomy z ukończenia takiej szkoły, szkoły początkowe rolne, szkoły dla dorosłych (rolnictwa), § szkoły ogrodnicze (bądź całkowite, bądź kursy ogrodnictwa przy szkołach

średnich). Istnieje w Belgji 1468 stowarzyszeń rolniczych i hodowlanych, syndykatów hodowli bydła, nierogacizny, owiec i kóz (35 tys. członków), królików (1200 członków), psów pociagowych (1600 członków), ptactwa (7 tys. członków), pszczół (7 tys. członków), koni, uprawy zbóż — jęczmienia, buraków, (2670 członków), cykorji, truskawek (800 członków), tytoniu, groszku, wczesnych kartofli i t. p., mleczarnie i maślarnie (505, obrót roczny 33 miliony franków, 47 tys. członków, w oborach 135 tys. krów). Stowarzyszenia kredytowe (kasy Raiffeisen'a) — zorganizowały 25 tys. członków, pożyczki w roku 1908 wynosiły 4 i pół miliona franków, depozyty—8 milionów fr. Kasy te przeważnie istnieją tylko we Flandrjach, w znacznej części związane są z Boerenbond'em w Louvain. Stowarzyszenia ubezpieczeń obejmują: inwentarz — ubezp. bydła (1073 stow., 97 tys. czł., 282 tys. krów) koni—203 stow., 26 tys. członków (1910 r.), kóz — 389 stow., 41 tys. członków, 49 tys. kóz, nierogacizny — 75 stow., 13 tys. świń, ubezpieczenie od gradobicia — ośm stowarzyszeń, 5 i pół milj. fr. ubezpieczenia i t. d.

Urządzenia społeczne katolików belgijskich ogarniają cały żywot osobnika: fizyczny, moralny, społeczny. Beżenny robotnik znajduje przytułek (a często i bezpłatny wikt), łucznika pociąga organizacja turniejów, koncerty — wszystkich. Związek zawodowy (popierany przez fabrykanta przeciwko socjalistycznemu), towarzystwo pomocy, otrzymujące subsydia od rządu. Prasa, za bezcen dostarczana. Instytucje św. Wincenego à Paulo — zwracają się do najbiedniejszych. Związki chłopskie, doskonale zorganizowane, kupują i sprzedają co trzeba, ubezpieczają dobytek chłopski i ogarniają całe życie chłopskie tak szczerze, że na wsi nie sposób jest poprostu istnieć materialnie i społecznie, nie należąc do organizacji Boerenbond'u, prowadzonego przez księży.

Stanisław Posner.

Nastroje Zachodu.

II.

Dziwny kraj! Nie należy do żadnego kontynentu, a potężny na wszystkich; nie oddał ani jednej głowy ze swej rasy pod cudze berło, a władza licznymi odłamami wolnych ludów; żyje na wodzie, a na lądach zagarnął największe obszary, jednakowo bliski Chinom jak Francji, jednakowo daleki persom jak irlandczykom, jednakowo obojętny a zarazem czujny wobec starć, wojen, zamiarów, podstępów w najodleglejszych zakątkach świata. Po dzień dzisiejszy jest ciągle odkrywany i podziwiany: oto Anglja.

Jeśli jej potrzeby i warunki bytu są równie rozległe i różnoimienne, jak granice, to odpada wszelkie porównanie Anglji z któremkolwiek z państw sąsiednich lub pokrewnych. Bez wątplenia też słuszniej można mówić o podobieństwie ekonomiczno-politycznem chociażby pomiędzy Francją i Sjamem, niż pomiędzy np. Anglją i Holandją. Pozorny ten paradoks, który nam objaśni następnie wiele zjawisk z życia anglików, zamienia się w łatwiej zrozumiałą prawdę, gdy uprzytomnimy sobie, jaki zachodzi stosunek wielkości,

*) Ob. pracę o. Macaire „L'oeuvre des Frères des Écoles Chrétiennes en Belgique“.

zaludnienia i bogactwa W. Brytanji do jej kolonji: nie większy, niż biura dyrekcji do całego obszaru fabryki. Przemysł i handel, interesy i uczucia, tradycje i rozwój przyszły takich państw kolonialnych, jak Niemcy, Francja, Japonja, Włochy, Stany Zjednoczone, Holandja i t. d. koncentrują się na miejscu. Bogactwo Belgji jest w Belgji, a Kongo to rynek zbytu i eksploatacji, bardziej cenna w przyszłości, niż obecnie pewna własność. Francja przehandlowała wielkie terytorjum za prawa do innego i ta operacja była grą na giełdzie polityki, wymianą wartości, lecz nigdy nie zamachem na uczucia i warunki bytu Francji jako takiej.

Inaczej przedstawia się sprawa Anglji wraz z jej posiadłościami kolonialnymi; absolutna wyjątkowość jej położenia stwarza zupełnie odmienne normy dla charakterystyki kraju. A więc przedewszystkiem interes. Handel i przemysł angielski jest od kilkudziesięciu lat systematycznie i nieuchronnie wypierany bądź przez wyroby europejskie, bądź też amerykańskie. Fabryki angielskie nie zaspakajają dostatecznie średnich potrzeb narodu i zacząwszy od pożywienia i urządzenia domu, kończąc na drobiazgach codziennego życia coraz silniej wzrasta przywóz wytworów obcych. Zwrócili Anglijcy na to zdawna uwagę. Przegrywają walkę z honorem, ustępują cal po calu z zajmowanych placówek, ale już dzisiaj nie podnoszą tych alarmów, które 16 lat temu zajmowały całe społeczeństwo razem z parlamentem.

Nie każdego stać na ubranie z sukna angielskiego, nie każdy już kupi brzytwę angielską. Zrozumiawszy ten mus ekonomiczny, tem jaśniej zarysowała się im wartość skarbów kolonialnych; tutaj rywalizacja pozostanie zawsze niemożliwością, bo ani Ameryka ani Europa nie wyprodukuje nigdy herbaty cejlońskiej lub bawełny australijskiej i nadwyżkę przywozu fabrykatów można stokrotnie wynagrodzić niezastąpionym swoim eksportem surowego materiału. Bogactwo więc Anglji jest w kopalniach Afryki, glebie Bengalu, stadach Australji, rozsiane po wyspach i lądach od Kanady do Nowej Zelandji, od Transwaalu do Indji.

Konsekwentnie do warunków zewnętrznych urobił się charakter i natura ludzi. O ile dla polaka z Wilna będą również środowiskiem swojskiem Lublin i Kraków, a żadna przynależność państwowa nie zdejmie z Wiednia lub Berlina piętna „zagranicy“, o ile dla francuza podróż do Indo-Chin lub Madagaskaru będzie zawsze zwiedzeniem „obcych“ krajów, powiedzmy, egzotyczną nieswojskością, o tyle, naodwrot, Anglik czuje się wszędzie u siebie, wszędzie *citizen of the world*. Widok pierwszego lepszego ich portu, okręty, paki, towary, listy, zamorskie przedsiębiorstwa i interesy przypominają mu bezustannie o jego panowaniu nad światem. Dla europejczyka z kontynentu np. Nowa Zelandja to jakiś przyzwykły do badań socjologicznych lub przyrodniczych, rzecz oderwana, równie daleka, jak rękopis z XV wieku, coś zamglonego przestrzenią lub czasem. Dla Anglika to sprawa żywa, realna, to siostrzenica Betsy, która waha się z oddaniem ręki Robertowi, to Henry, który kupił stado baranów i przyjedzie na święta, to jego fabryka lub plantacje, kraina bliska i własna. Taką właśnie ojczyznę, która jeździ okrętami i nad którą słońce nie zachodzi, ukochał Anglik, zżył się z nią od wieków i bronić jej nie tylko musi, lecz z zaparciem się będzie. A chociaż długość jego nerwów patrijotycznych wynosi

tysiące kilometrów, odczuje tak samo wrażliwie nacisk na Tasmanję jak na Jersey, okaże wszędzie tę samą giętką i twardą przenikliwość, jak ostrze szpady. Głową tego ziemnowodnego tworu wśród mocarstw świata jest Wielka Brytanja, jego mózgiem Londyn, pamięcią i wolą — parlament, czujnym wzrokiem — rząd.

Drugim rysem charakterystycznym, który wyosabia naród angielski z pośród innych, jest najzupełniejszy rozdział pomiędzy polityką zewnętrzną i wewnętrzną. Agresywność Niemiec lub Francji jest prawie zawsze uzależnioną od tego, czy obywatele państwa niezbyt cierpią z powodu wewnętrznych zarządzeń istniejącego gabinetu; naczelne dowództwo armji jest związane z niepokojem, czy nie zajdzie zamach stanu (Francja); pancerniki lub nowe korpusy tyle mają kosztować, wiele obywatel zarobił na piwie. A gdy tylko zmienia się kurs polityki wewnętrznej, przypuścimy, od liberałów do konserwatystów, momentalnie nastaje przewrót w projektach i pracach na zewnątrz państwa. Najzupełniejszym kontrastem jest stosunek społeczeństwa do rządu w Anglji. Polityka wewnętrzna doprowadza do krytyki ostrej, wywołuje starcia w formie olbrzymich bezroboci, wznieca niepokoje z powodu autonomicznych praw Irlandji, kończy się upadkiem najbardziej popularnego ministerjum lub nawet tak głębokim przewrotem, jakim jest odebranie prawa veto Izbie lordów, ale pozostaje zawsze jednolitą, zawsze bezwzględnie solidarną, zawsze imponująco ogólną w zagadnieniach taktyki zagranicznej. „Nie atakowałem nigdy i również dzisiaj nie będę atakował lub krytykował polityki zagranicznej rządu“, powiada wódz konserwatystów Bonar Law. „Sir E. Grey kieruje tą polityką, jaką patrijota powinien się kierować. Znajduje się on poza walką stronnictw i podtrzymuje w naszych interesach zewnętrznych tę ciągłość poglądów, która jest zasadniczą. Dopóki tak postępować będzie, a wierzę, że wytrwa, może zawsze liczyć na najserdeczniejsze poparcie partji, do której należymy“.

Tak jest. Nie utrzymałby się u władzy 24 godzin taki gabinet, który sprowadziłby wszystkie błogosławieństwa na spokój i dobrobyt kraju, lecz jednocześnie okazał słabość lub wahanie wobec najżywotniejszej kwestji — stosunku do państw obcych.

Jeżeli sprawą życia, dumy, potęgi, władzy, przyszłości jest dla Anglji bezpieczeństwo jej kolonji i jeśli w tym zakresie rząd jest prawdziwą funkcją narodu, to żeby zbadać zamiary polityki angielskiej, postawić chociażby przybliżoną hipotezę układu i stosunku sił, należy największą uwagę zwrócić właśnie na rząd. Przegląd prasy lub analiza nastrojów społecznych wśród rozmaitych warstw doprowadziłyby do tego samego rezultatu, lecz drogą dłuższą, uciążliwą, często świadomie krętą. Dlatego to niczyje słowa nie są tak bez końca prześwietlane krytyką, nigdzie nie przywiązują tak wielkiej wagi nawet do drobnych napomknień, jak w Anglji.

Rząd angielski, najwstrzemięźliwszy w mowie, od czasu sławnych podróży Edwarda VII mówi coraz wyraźniej i głośniej. Minęły chwile, kiedy wspomniano o możliwościach „zatargu“; dzisiaj te słowa brzmią: „wojna z Niemcami“. Zamiat rozważań o pozorze teoretycznym jak trzeba utrzymać panowanie na morzu, zjawiała się dobitna formuła automatycznego budżetu marynarki: budować dwa razy więcej pancerników, niż posiada *ich* flota, naturalnie, niemiecka. Zamiast za-

wielej a ostrożnej mowy prezesa ministrów, w której argumentami były „niewyjaśniony horyzont“, „niepewna chociaż polepszająca się sytuacja“, „siła jest ręką pokoju“, obecnie rozdaje się posłom na posiedzeniu parlamentu drukowaną przez rząd broszurkę, gdzie nie tylko jest wymieniony dosłowny tekst prawa, zwiększającego marynarkę niemiecką, ale i cały kosztorys, techniczne wyjaśnienia, wszelkie drobiazgi o terminie, ulepszeniach, wszystko, co mogłoby być ciemnym dla niespecjalisty. I tę niebywałą demonstrację w dziejach wogóle parlamentu, a tembardziej angielskiego, który zachowywał w drażliwych sytuacjach zimną krew, inauguruje rząd, rząd liberałów, rząd pokoju powszechnego i najsilniejszy przeciwnik burzy europejskiej. Język omówień dyplomatycznych pozostał ten sam, gdy sprawa dotyczy stosunków z Rosją lub Chinami, rozszerzenia sfery wpływów kosztem Persji lub Turcji, uniknięcia niewygodnego narazie przymierza z Francją, ale już nie istnieje dla wypowiedzenia obawy lub jawnej groźby w stronę Berlina. Gdyby na jednej szali położyć straszliwą szczerotę rywalizacji, a na drugiej okrucy obłudnej grzeczności europejskiej, to wskazówka tej wagi pokazałaby tak ciężkie, przygniatające niebezpieczeństwo wojny, jakiego ostatnie dziesiątki lat jeszcze nie widziały.

„Dyplomacja utrzymuje w równowadze stosunek naszych sił“, powiada minister marynarki: W. Churchill, „w przyszłości jednak na każdy nowozbudowany okręt niemiecki odpowiemy dwoma pancernikami, uważając to za gwarancję minimalną naszej przewagi. Minister spraw zagranicznych sir E. Grey szeregiem bolesnych aforyzmów rozwiewa również nadzieje i złudzenia niemieckie: „Potężna flota dla nas jest koniecznością, dla Niemiec zbytkiem“. „Niemcy powinny zrozumieć, że dla nich nie poświęcimy żadnej przyjaźni, nie cofniemy się przed żadnym zobowiązaniem przeszłym...“ „Mamy w zapasie jeszcze wiele środków, które mogą szybko i skutecznie zniechęcić do rywalizacji z nami“. Niedawno mianowany minister wojny M. Seely—„zwolennik obowiązkowej służby wojskowej w Anglii, a co ważniejsze, następca po pokojowo usposobionym lordzie Haldane, już zdążył określić swoją przyszłą pracę: „Byłoby błędem wysuwać na pierwszy plan niebezpieczeństwo w kolonjach..., zostawiając armję Wielkiej Brytanji słabszą, niż armja, którą w przeciągu jednego dnia można przerzucić na nasze wschodnie wybrzeże“. Najwstrzemięźliwszym pozostaje, jak wszędzie, prezes ministrów—M. Asquith, którego czułych zapewnień, jak twierdzą złośliwi, nie słuchają nawet stenografki w parlamencie; nie mniej jednak umie on ukłonić się bardzo sztywno w stronę Berlina. „Rozumiemy o tyle potrzebę kolonialnego rozwoju Niemiec, o ile poprawne stosunki z tem państwem były zawsze dla nas bardzo cenne. Nie zmniejsza to jednak nic naszych wielkich zobowiązań światowych“.

D. N.

R.

Wszystkich przyjaciół naszego pisma prosimy o jego rozpowszechnianie.

O języku ukraińskim.

W № 6 „Ukraińsk. Żiżni“, w „dziale na tematy bieżące“ znajdujemy niezwykle trafne i piękne napisane uwagi S. Jefremowa o polityce rusyfikacyjnej na Ukrainie. Podajemy je tutaj w przekładzie polskim „Dziennika Petersburskiego“.

Czy pamiętasz, czytelniku, natchniony hymn wielkiego mistrza słowa na cześć języka rosyjskiego wyśpiewany? „W dni zwątpień, w dni smętnych rozmyślań o losach mej ojczyzny— tyś tylko podtrzymaniem mi jest i oparciem, o wielka, potężna, szczerza i wolna mowo rosyjska! Bez ciebie musiałbym wpaść w rozpacz wobec tego, co się u nas dzieje! Niepodobna jednak uwierzyć, aby mowa taka nie była dana wielkiemu narodowi!“

Zaprawdę tak!—powtórzmy razem z Turgienjewem, wiemy bowiem, iż język Turgienjewa „wielki, potężny, szczerzy i wolny“—nie chciał przemocą stać się takim językiem kosztem języków innych: on był wielkim sam przez się. Ale co pana Struwego już tem zadowolić nie można: dla niego język rosyjski jest wielkim z innych powodów,—jako pewnego rodzaju „nadbudowa arystokratyczna, ponieważ w języku tym tworzyli wielcy artyści słowa, zdobywcy wszechświatowej sławy naszej, w języku tym z wyżyn petersburskiego Synaju głosiło swą wolę wielkopaństwowe mocarstwo“.

Wyrażone w ten sposób zachwyty przyjmiesz, czytelniku, niewątpliwie z mniejszym zapalem, jeżeli nawet nie z niechęcią zgola... Zbyt już bije tu w oczy świadomie „robiony“ mauvais ton, impertynencko i natrętnie tkający ci w nos swą domniemaną wyższością.

Przejdźmy jednak od tego napuszonego „Synaju petersburskiego“ do powszedniej praktyki życia, zwłaszcza u nas, na Ukrainie, a zobaczymy w co się zamienia owa „wielka, potężna, szczerza a wolna“ mowa rosyjska.

„Z wyżyn petersburskiego Synaju wielkopaństwowe mocarstwo“ obwieściło między innymi taką też niezachwianą swą wolę, aby na Ukrainie całe życie społeczne, wszystkie instytucje publiczne, wszystkie szkoły posługiwały się wyłącznie językiem rosyjskim. Z konieczności językiem tym musi się posługiwać oficjalnie i ludność miejscowa. To też posługuje się nim. I słyszymy tu nie tę mowę, którą słusznie zachwycał się taki artysta słowa, jak Turgienjew, ale coś tak potwornego, wstrętnego i ohydneho, że w języku ludzkim nie masz wyrazu dla określenia tego arcytworu. „Prosiat powirnut' sibile na lewo“, „Cziczas suda pierchodit portnoj miednik“, „Striziet i briejet borodawka“, „Nogoleczebnyj kabinet. Ortopiediczeskij sapożnik. Leczit posriedstwom obuwi wsiech boleźniej nogi“.

Jest to niewielki zbiór szyldów z gubernjalnego miasta Żytomierza... Doświadczenie wskazuje, że: język rosyjski, przeszczepiany na Ukrainie przez szkołę rusyfikacyjną, żołnierkę, instytucje oficjalne, wpływ warstw oświeconych i t. p. zdradza wszystkie cechy zwyrodnienia, świadczące o upadku całego aparatu myślowego, którego narzędziem jest żywe słowo... Analfabetyzm wynaradawiających się mas ludowych nie jest bowiem tylko tym zewnętrznym analfabetyzmem, który świad-

czy jedynie o niedostatecznym przyswojeniu pewnych reguł gramatyki, — to ostatnie nie wyklucza przecie specjalnego poczucia ducha języka, stosowania się bezwiednego do tych jego wymagań, które wessaliśmy z mlekiem matki...

W tym wypadku analfabetyzm przenika głębiej i opanowuje przejawy całego życia duchowego wynarodowionej jednostki; jest to analfabetyzm organiczny, analfabetyzm ducha, skazujący twórcze władze osobnika na bezpłodność zupełną. Ani szkoła jednak, ani wszelkie inne wpływy nie zdołają wytepić w duszy ukraińca tego, co wessał on z mlekiem matki — wpływy te uczą go tylko pogardy dla tego nieocenionego dziedzictwa, dając mu wzamian kilkadziesiąt, w najlepszym razie kilkaset obcych wyrazów, które każą mu wypowiadać wszystkie myśli i pojęcia ludzkie. To, czego mu brak, z konieczności czerpie ukraińiec w dalszym ciągu z tego samego zasobu mowy oczystej, ale już w formie tak pokaleczonej i wykoszlawionej, że u ludzi o pewnym smaku i po czuciu języka budzi ona tylko wstręt i obrzydzenie...

I cóż dać może twórczość ukraińca w tej lichej i ohydnej mieszaninie dwóch języków, zbyt ubogiej dla wyrażenia powszednich nawet pojęć, jeżeli człowiek ten na każdym kroku utyka, czując instynktownie, jak się rwie związek pomiędzy myślą jego a słowem?

Doprowadzić żywą jednostkę ludzką do takiego stanu, to znaczy, jak się wyraził Uszinskij, dosłownie „wyjeść“ z niej duszę, spustoszyć jaźń świadomą, rzucić jej właściciela, jak trzcinę wichrem targaną, na pastwę wszelkim napotykanym wpływom. Upadek życia duchowego, twórczości i oryginalności, niestałość umysłowa i moralna, podatność na wszelkie przejściowe, a najczęściej zgubne wpływy — oto są skutki tej niwelującej polityki. Owoce jej we wsi ukraińskiej coraz są widoczniejsze. Z jednej strony zanik twórczości rodzimej, z drugiej — rosnące na gruncie lokajskiej cywilizacji cyniczne chuligaństwo i bezwzględna obojętność na wszelkie prawdziwie ludzkie aspiracje — to są nieuniknione następstwa „obrusienia“.

Polityka, mająca na celu hodowlę pokurców, innych rezultatów dać nie mogła. I oto stanęliśmy wobec groźnego niebezpieczeństwa tworzenia zwyrodniałych, ohydnych, niezdolnych do rozwoju form życia i sami wtrącamy do tej przepaści lud, ciesząc się z tego, że na Ukrainie szerzy się oświata, która za nielicznymi wyjątkami prowadzi w rzeczy samej do większego jeszcze, kwalifikowanego analfabetyzmu, bo do wyjąłowania i spódnienia moralnej istoty ludu.

„Toż cię umyślnie tak wypaczono. Toż cię umyślnie tak nauczono, aby duszę ci wyjąć, a tyś tego nawet nie zauważył?“ — przypomina mi się zapytanie jednego z bohaterów Głieba Uspienkiego.

Pytanie to zadać możemy zwłaszcza tej „ogólno-rosyjskiej“ inteligencji na Ukrainie, która świadomie i nieświadomie przyczynia się do zrusyfikowania czyli do obniżenia poziomu duchowego ludu ukraińskiego.

TARAS SZEWCZENKO.

KOSIARZ.

*Po nad polem we dnie
Kosą błyska i mknie,
Nie pokosy kładzie — góry:
Gdzie postąpi — trzeszcza mury,
Morze łękiem drgnie.*

*W noc, gdy stanie u głów,
Jęk nie płoszy go sów...
Ścina kosa jego wraza,
Na niczyje tzy nie zważa —
Bracie, pacierz mów!*

*Nie krzycz, próżna tu łza!
Gród czy siolo, do cna —
Nie klepając nawet kosy,
Niby brzytwą tnie w pokosy
Wszystko, co Bóg da:*

*Chtop to, szynkarz, czy dziad,
Co szedł z lirą przez świat.
Przyśpiwuje siwowłosy,
Coraz nowe kładzie stosy,
Król niejeden padł.*

*Nie ominie i mnie,
Na obczyźnie mię tnie,
Za kratami w noc zadławi,
Nikt mi krzyża nie postawi
I nie wspomni, nie.*

Z ukraińskiego przełożył

Sydir Twerdochlib.

U źródeł twórczości.

Dr. A. Heilpern: „Przyczynki do psychologii Twórczości“, — Lwów, nakład „Polskiego Tow. Nakładowego“, 1912.

Przed dniami niewiele wyszła z druku książka, zatytułowana skromnie: „Przyczynki do psychologii twórczości“. Autorem tego dzieła jest dr. A. Heilpern, profesor gimnazjum polskiego w Tarnopolu, człowiek szerszej publiczności nieznan, mąż o wiedzy wielkiej, nadto wyrobionym smaku artystycznym i znakomitej kulturze literackiej i artystycznej, ceniony pedagog i skrzypek pierwszorzędny, cichy mol książkowy, który w czterech ścianach swego pokoju bada z równą intensywnością i jednakim entuzjazmem „Psychologję języka polskiego“ jak i muzykę Wagnera i jego dramat; który z jednaką pracowitością radosną żyje ze swemi skrzypcami jak z gramatyką języków słowiańskich, jak z Machem, Avenariussem, Bergsonem, Hogarthem i Mengsem i Arystofanesem, — człowiek, którego umysł, poznania chciwy, jak instrument najczulszy, reaguje na każde wartościowe zjawisko życiowe.

Taki jest dr. Heilpern dla tych, co go znają bliżej, nie też dziwnego, że pojawienia się jego książki oczekiwano z dużą niecierpliwością.

„Przyczynki do psychologii twórczości“ pojawiły się we Lwowie w nakładzie zasłużonego „Polskiego Tow. Nakładowego“ i zawierają 200 stron druku. Wiadomo, że systematycznego wykładu z dziedziny, będącej tematem pracy d-ra Heilperna, w polskiej literaturze nie mamy. Literatura polska nowoczesna dała estetyce wartościowe, lecz drobne studia z tej dziedziny (teoretyczne) — aby wspomnieć Matuszewskiego i Michała Sobieskiego, — poza ten stan jednak dzisiejszej estetyki nikt u nas do dzisiaj nie sięgnął. Uczynił to dr. Heilpern, więc z celem jego pracy zapoznać się warto.

Czego chce dr. Heilpern?

Interesował go, jak wszystkich estetów-filozofów, problem piękna. Dr. Heilpern szuka jego istoty. Autor odstępnie od znanych metod dzisiejszej estetyki (nie znaczący, że lekceważy), pomija jej rezultaty (znaczy, że mu one nie wystarczają), — i stara się dotrzeć do źródeł ducha twórczego.

Estetyka społeczna zajmuje wobec dzieł artystycznych stanowisko dwojakie: dla jednego będzie się to stanowisko nazywało sądem o pięknie obiektywnym, dla drugiego zaś będzie estetyka nauką o pięknie podmiotowym (I. M. Guyau. Problemy estetyki społecznej, Paryż 1904). Nie zasilona sceptycyzmem eklektyków, którzy stają na wygodnym stanowisku pośrednim i dowodzą, że estetyka nie jest ani wyłącznie obiektywną ani wyłącznie subiektywną (patrz np. M. Dessoir: „Esthetik und allgem. Kunstwissenschaft 1906). stworzywszy raz te dwie główne kategorie szablonów wartościowania, estetyka innego patrzenia na twórczość nie dopuszczała.

Inną drogę obrał dr. Heilpern, — zwrócił się w swych badaniach na poważną drogę *psychologii twórczości*. Odbiegł jednakże od „estetyki psychologicznej“, — dla której piękno jest sumą estetycznej podniety rozkosznej, i dla której życie estetyczne wyodrębnia się w każdej jednostce od całej reszty jej życia (np. J. Segal w rozprawie swej o psychologii i estetyce normatywnej), — odrzucił wszelkie formułki znane subiektywnej estetyki i obiektywnej i spojrzal na dzieło artystyczne pod kątem widzenia samych-że twórców (Prawda, warto też było od dawna się zastanowić, jak też na te sprawy patrzą sami twórcy?). Dr. Heilpern bada zatem psychologię tego, który bada pobudki, motyw wytworzenia i stara się na tej drodze znaleźć odpowiedź na pytanie: co to jest piękno?

Do odpowiedzi na to pytanie zdąża autor poprzez 12 rozdziałów swej pracy, z których wynika rezultatywnie z logiki wywodu, iż istotą piękna jest właśnie to, co w artyście budzi najżywsze tęsknoty rozwojowe i co jest pośrednio twórczością najwyższą.

Dotychczasowa psychologia twórczości (przypominam znowu Matuszewskiego u nas) zajmowała się psychologią poszczególnych artystów. — Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Wyspiańskiego, Goethego, Schillera, Hebbła, Szekspira, Byrona, Browninga, Michała Anioła, Leonarda da Vinci, Benvenuta Celliniego, Dostojewskiego, Tołstoję, Ibsena i t. d. i t. d. I. Heilpern widzi odrębności indywidualne artystów, odrębne etyczne, narodowe walory ich sztuki; i on wskazuje, że artysta siebie dając, własną duszę, daje duszę narodową i z naciskiem twierdzi, że muzyka Czajkow-

skiego, Rimskiego-Korsakowa, zdobyła Niemcy i Francję swoją odrębnością i potęgą swego charakteru, że i muzyka Beethovena jest jak muzyka Wagnera nawskroś niemiecką, a nie „ogólnoludzką“, że Ibsen i Goethe i Schiller i Tołstoj i Dostojewskij stali się „ogólnoludzkimi“ dla swego charakteru narodowego (oryginalność narodowa to nie „temat“ narodowy), — a mimo to, a raczej właśnie dla tego uważa dr. Heilpern twórcą za typ ściśle określony bez względu na czas, w którym się pojawia i bez względu na jego przynależność narodową

Posługując się dowodnie obszernym materiałem, *listami i pamiętnikami* różnych wielkich twórców, autor „Przyczynków“ wywodzi, że u największych twórców istnieją rysy wspólne, — wspólne, *nawet identyczne poglądy na sztukę*. Te wspólne rysy wszystkim wielkim potentatom sztuki, ich poglądy na istotę i treść i cele sztuki, stara się dr. Heilpern uchwycić, — czyni to w wykładzie bardzo jasnym, logicznym, z którego roztwiera się dla czytelnika coraz szersza prespektywa na cel, do którego autor zmierza.

Idąc konsekwentnie za tokiem myśli książąt poezji, muzyki i sztuk plastycznych, za ich *intencjami* artystycznymi i za ich sądem o sztuce, dr. Heilpern widzi w sztuce, u wszystkich twórców wielkich: *pragnienie życia, wywyżczenia się, życia pełniejszego niż daje rzeczywistość*. Według Heilperna wynika sztuka z tej tęsknoty za pełniejszym życiem przeszłym czy przyszłym, za tem jednakże, które się *nie da* zrealizować w chwili *obecnej*, a które jest niczem innym, jak stwarzaniem życia w marzeniu. To gorące pragnienie zjawia się w epokach, w których *czyn* szerszy znikł, a zjawia się tylko tęsknota za nim, tęsknota która pożarłaby serce, a która po wypowiedzeniu się artysty w dziele, przynosi ulgę, rozwiązuje kwestję piekącą, która artystę posuwa rozwojowo dalej.

Czytelnikowi książki Heilperna przypomni się w tem miejscu filozoficzne stanowisko ewolucjonistów, między nimi jednakże a Heilpernem jest ta różnica, iż kiedy ewolucjoniści wskazują na *energję* artysty, wyładowującą się w dziele pięknem, autor „Przyczynków“ patrzy nie na energję, lecz na *pragnienia* i czyni słusznie, gdyż pragnienia z energją nie zawsze idą w parze.

W tych pragnieniach, w tęsknocie za rozwojem, za życiem szerszym, widzi nasz badacz źródło twórczości: tak po wędrowkach Dorów powstały pieśni Homera, — w Iliadzie i Odysei szukały pokolenia greckie przez długie wieki życia na miarę wielką i musiały cenić jej doniosłość. Podobnie to sama Grecja po wojnach perskich sięga do mitu i stwarza *największy dramat*.

W czasach renesansu, zwracają się tęsknoty i myśli ludzkie do heroicznym czasów Grecji. Wielcy ludzie renesansu chcieli być Prometeuszami, Edypami, Agamemnonami. Więcej niż siebie samych, cenili *w sobie greków*. Ten sąd d-ra Heilperna stwierdza rzecz wiadomą, że np. Petrarca wyżej cenił swoją twórczość jako humanisty niż jako poety.

Trzecią taką epoką jest czas po wielkiej rewolucji francuskiej. Tu narodziny w sztuce romantyzmu i wszystkich jego odcieni; ze społecznych postulatów tej historycznej burzy rodzi się pozytywizm literacki z przymieszką przyrodniczą, z tej samej atmosfery wyszedł Ibsen i altruistyczny indywidualizm Nietschego. Wszyscy pragnęli wysokiego rozwoju indywidualności, — jedni z ce-

chami społecznymi, drudzy — jak Stirner — bez nich.

Stwierdzenia dokumentalnego szuka dr. Heilpern i w muzyce i dowód znajduje w Wagnerze.

Oczywista, że nie każdy objaw artystyczny znajdzie swój rodowód w tych wskazaniach d-ra Heilperna, i że nie każde dzieło sztuki da się wytłumaczyć tą tęsknotą autora za życiem wolniejszym i wyższym. Lecz nie każde dzieło sztuki jest dziełem sztuki. Nie każdy strumyk wypływa i wypływał z tego przebogatego źródła, wystarczy, że prąd główny miał swe źródło w tym ogniu jutrzni złotej, która w początkach XIX w. oświeciła całą Europę.

(d. n.)

Edmund Weisberg.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Marcelina Kulikowska: „Z dziejów duszy”. — Spółka nakł. „Książka” Kraków. Skład główny Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

Szóstego maja 1907 r. pisała w swoim pamiętniku Marcelina Kulikowska: „Jaką uciechą nadzwyczajną jest pewność śmierci! Ta nie zawiedzie przynajmniej i kiedy jej zażadam, przyjdzie... Ale w cztery dni później pisała w tym samym dzienniku, może na tej samej stronie: „A jednak w rzeczywistości boję się śmierci. Dziś... przed chwilą... i zadrżałam. Najgorsze, że w jednej chwili straciłam wiarę w jej spokój! Boże, co z tego będzie!”

„Z dziejów duszy” to pamiętnik samobójczy. Marcelina Kulikowska była istotą niezmiernie czułą, powiedziałabym chorobliwie czułą... była w najwyższym stopniu zdenerwowana. Odczuwała boleśnie samotność swoją pośród ludzi, nie wiedziała, jak tę samotność wypełnić, nie umiała zdobyć się na siłę życia samotnie. „Mojem słownem właściwie bywały chwile samopoczucia, one dały mi najwięcej w życiu i one jedynie najwięcej są warte” — notowała 28 sierpnia 1907 r. Kulikowskiej brakowało „samopoczucia”, innemi słowy brakowało jej poczucia własnej siły, która w człowieku usprawiedliwia wszelkie działanie. W czerwcu 1908 r. pisała: „O ile chce się osiąść cokolwiek, wziąć trzeba własnymi rękami, nie przyjdzie bowiem nikad... Tak czynić należy, jeśli się żyć pragnie”.

Marcelina Kulikowska żyć pragnęła, ale nie umiała brać życia „własnymi rękami”. Była istotą słabą. Jej pamiętnik jest skarga, utyskiwaniem na samotność, na to, że „nie zna mnie nikt!” (str. 80). Na tych stronicach, zapisanych ręką przyszłej samobójczyni, czernieje wiele żalu do ludzi za ich egoizm, za ich małość, i wiele żalu do siebie, że należy do tych ludzi, że jest z tej samej nieświetnej gliny, (str. 218). Ton ogólny książki: zniechęcenie, apatia. Notatki nie odznaczają się ani głębią myśli, ani oryginalnością formy; leży nawet na nich niemiłe piętno literackości. Przez tę „literackość” nie rozumiem „pozy”, ale uważam ją za przejaw słabości. Marcelina Kulikowska nie umiała znaleźć dość silnych wyrazów na odmalowanie swojej anemji życiowej, więc swoje zwierzenia podpierała literackością. „Z dziejów duszy” nie podobna nazwać pamiętnikiem człowieka zbuntowanego przeciw życiu, mimo, że autorka niejednokrotnie mówi: jestem inna niż oni... taką jak oni (wszyscy) być nie umiem...

próbowałam się złamać, nie umiem”. (154) „Z dziejów duszy” to kwilenie ptaszka, który się uważa za słabszego od owadów, mających mu być pożywieniem.

Dla Marceliny Kulikowskiej, istoty prawej i zacnej, można mieć po przeczytaniu jej dziennika litosne współczucie, ale mimo wszystko jej słabość... rozdrażnia.

Pośmiertna książka autorki „Barw duszy” i „Wędrówek po kraju” ma dla czytelnika uzdrawniające znaczenie: rozbudza gniew przeciw słabości. Nawet dobroć i poczciwość, i nawet nie-szczęście, gdy są ślamazarne, powodują odruch zniecierpliwienia.

Aleksandra Suszczyńska: „Wrogowie”—nowele. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Tom, o którym mowa, zawiera jedenaście nowel. Ich tytuły: „Wrogowie”, „Lazarone”, „Jej imię”, „Brzemię”, „Zemsta bogini”, „Jesień”, „Najmilsze kochanie”, „Dziwy”, „Ania”, „Chrzciny”, „W szkole”.

P. Aleksandra Suszczyńska jest istotą wrażliwą. Tę jej kobiecą wrażliwość wyczuwamy na każdej stronicy „Wrogów”. Wrażliwość kobiecą. Chcę przez to określenie powiedzieć: wrażliwość wyrażaną słabym głosem. Kobieta przecież jest istotą słabą. Miewa ona wprawdzie wielkie porywy (kobieta), ale wypowiada je przeważnie głosem niezbyt donośnym. Kobieta prawie zawsze tak przemawia (gdy uczy, gdy opowiada), jak gdyby mówiła do dzieci. Ma to swój wdzięk, ale... długo tego słuchać nie można; gdy się już nie jest dzieckiem, a jeszcze się nie jest—kochankiem (mówiącej). Jeżeli np. kobieta mówi o piorunie, to piorun wygląda w jej ustach, jak promień; nie hałasuje, zaledwie szemrze, i dziwimy się, że kobieta się lęka tego piorunu, o którym mówi. Albo młoda ładna kobieta, zagrzewająca do boju!

Sądzę, że gdybym był obecny w szeregach wojska Joanny d'Arc, gdy ta z mieczem w rękę gorąco przemawiała w arcy-ważnej sprawie, poskoczyłbym wzruszony ku niej, ściągnąłbym ją z konia i z tkliwością ucałował w usta; potem bym poprosił o jej rękę—a przez ten czas roznieśli by nas wrogowie. Młoda ładna kobieta, roztrzęsająca poważnie poważne sprawy, ma w zachowaniu się coś z dziecka, które udaje dorosłych. To jest urocze, ale... ale to jest urocze!

Zresztą, niema reguły bez wyjątku. P. Aleksandra Suszczyńska należy do reguły. To oświadczenie powinno starczyć za krytykę.

Pośród nowel tomu nazwanego „Wrogowie” wybija się na pierwsze miejsce nowela p. t. „Lazarone”. Autorka świetnie wyczuła istotę dolce far niente i dała w przezroczystrych kolorach szereg obrazków, składających się na poglądową niejako filozofję słonecznego lenistwa.

Utwory o charakterze aktualnym, publicystycznym, zajmują w książce p. Aleksandry Suszczyńskiej miejsce pośledniejsze.

W. G.

Sztuczne języki wszechświatowe.

Z okazji krakowskiego kongresu esperantystów, „Czas” podaje następujące dane o próbach dotychczasowych ustalenia sztucznego języka wszechświatowego.

Próby stworzenia języka międzynarodowego datują się od bardzo dawna. Jeszcze w r. 1617 usiłował niejaki Herman Hugo skonstruować sztuczny język. Od tej pory przesunęło się przez dzieje około 200 prób podobnych. Były to bądź języki tworzone zupełnie oryginalnie, bez związku z językiem jakimkolwiek znanym, bądź języki mieszane, częściowo tworzone z naturalnych, z własnym słownictwem i gramatyką, bądź wreszcie uproszczone kombinacje języków, rodzaj ekstraktu, uwzględniającego pierwiastki najbardziej rozpowszechnione po świecie. Do takich należy esperanto.

Śród prób stworzenia języka sztucznego nie brak i imion głośnych myślicieli, jak Kartezjusz i Leibnitz. Nie brak i oryginalnych eksperymentów, jak np. pomysł francuza Sudre'a, aby stworzyć język na podstawie gamy c-dur: do-re-mi-fa-sol-la-si-do; język ten nazywał się „solresol“ i godny jest uwagi przede wszystkim dla tego, że po śmierci jego twórcy, podjął propagandę „solresolu“ polak, Wincenty Gajewski, który założył w Paryżu istniejące dotychczas stowarzyszenie propagandy tego języka. Było to w początkach wieku XIX.

Najgłośniejszym był ogłoszony przez Niemca X. Schleyena w r. 1880 „Volapük“, wsparty na 55 językach z przewagą angielskiego. „Volapük“ osiągnął w krótkim czasie rozwoju takiego, z jakim dziś jeszcze nie może rywalizować esperanto. Liczbę władających nim obliczono na milion z górą, wydawano pisma volapükowe, odbywano kongresy, wprowadzano w szkołach, zwłaszcza we Francji, na koniec stosowano do celów handlowych na obszarze cywilizowanego świata. Nad jego rozwojem czuwała Akademia międzynarodowa; na uniwersytecie wiedeńskim stworzono katedrę tego sztucznego języka. Jednak „Volapük“ jak szybko wzrósł, tak szybko runął, głównie przez spory między ulepszczeniami i reformatorami. Również nie utrzymał się t. zw. język niebieski, czyli „Bolak“, wynaleziony przez paryskiego przemysłowca, Leona Bollacka, a odznaczający się krótkością wyrazów.

Osobną grupę stanowią języki, tworzone *a posteriori*, rodzaj wyciągu z języków najbardziej znanych, przy uproszczonej gramatyce. Należą tu próby upraszczania języków znanych, np. „Langue internationale neolatine“, „Latinisce“, „Phoenix“, „Lingua comuna“, „Nov-latin“, uproszczenia łaciny, „Nouve Roman“, uproszczony hiszpański, „Uila“, uproszczony angielski, „Communications“, uproszczony francuski. Dalej kombinacje kilku języków: „Pantos Dimon Glossa“, „Pasingua“, „Kosmos“. Przeważa w nich element romański. Projekt „Anglo-Franca“ miał być kombinacją francuskiego i angielskiego. Niejaki Fred Mill, w języku nazwanym „Anti Volapük“, obmyślił gramatykę międzynarodową, którą można było zastosować od razu do wszystkich języków, tak, że każdy od razu mógł pisać w każdym języku, mając przed sobą słownik.

Obecnie największe rozpowszechnienie zyskał esperanto. Że nie stanowi ostatniego ogniwa w rozwoju myśli języka międzynarodowego, świadczą próby, jakie już potem podjęto. Od r. 1887 pojawiło się około 30 nowych projektów, polegających także na zreformowaniu, uproszczeniu esperanto, jak np. najgłośniejsze z nich „Ido“, które uważa się za znacznie doskonalsze, niż esperanto.

Tak dokonała się w obozie esperanta secesja, na której czele stanęli słynny chemik Wilhelm

Ostwald oraz filozof i matematyk Ludwik Coutuzant.

Istnieje międzynarodowa instytucja celem badania sprawy języka pomocniczego międzynarodowego. Powstała ona w Paryżu w 1900 roku podczas wystawy powszechnej, członkami jej są wybitni uczeni. Uznano dotychczas trzy języki sztuczne za zasługujące na uwagę: Idiom neutral, esperanto i Ido. Instytucja ta nie wypowiedziała jeszcze ostatecznego zdania.

W opinii naukowej o językach międzynarodowych zdania są podzielone, nieraz diametralnie sprzeczne. Przeciwnikiem ich jest np. filozof włoski Benedetto Croce, który przypomina, że „język nie jest słownikiem, ale czemś płynnym; żądać ustalenia go, znaczy żądać nieruchomości ruchu“. Fritz Mauthner, autor „Krytyki mowy“ zapytuje: „Co ma uczynić esperanto w razach wątpliwych, gdy mu zbraknie słowa? Czy pisać do wynalazcy? W językach żywych, szafarzem słownictwa jest lud, tutaj — widzimi się wynalazcy lub komitetu“. P. Lrzykowski zauważa, iż zarzuty te nie odnoszą się do języka porozumiewawczego, jako nowego „instrumentu“, który można udoskonalić według woli i dodaje, że jeszcze twórca esperanta i jego pierwsi zwolennicy nie zrozumieli istoty tego narzędzia i „rzucili się nasamprzód na poezję“. Ale „sprawa weszła na tory właściwe“, gdyż dokonywa się wspomniana już wyżej „secesja“ w obozie esperantystów.

Problemem języka międzynarodowego zajmowali się między innymi lipscy profesorowie K. Brugman i A. Leskien (w broszurze „Zur Kritik der Weltsprache“), prof. Baudoin de Courtenay, prof. Jaspersen z Kopenhagi i znany filolog Schuchardt. Trzej ostatni oświadczają się za możliwością rozpowszechnienia się języka międzynarodowego bądź w zasadzie, bądź w szczególności co do esperanta, aczkolwiek prof. Courtenay niejedno w niem wytyka. K. Brugman, zajmując się językiem międzynarodowym, jako takim, nie wierzy w życie języków nieorganicznych, będących sztucznymi fabrykatami; prof. Leskien, analizując esperanto, twierdzi, że jest ono językiem stosunkowo skomplikowanym i trudnym. Prof. K. Brugman jest autorem słynnego dzieła porównawczego o językach indo-europejskich, prof. Leskien napisał klasyczną gramatykę języka starosłowiańskiego (starobułgarskiego), która stanowi podstawę studjów sławistycznych.

* * *

Język esperanto powstał w roku 1887. Twórcą jego jest dr. Ludwik Zamenhof, okulista warszawski, który wydał w tym roku nasamprzód po rosyjsku, następnie po polsku broszurkę p. t. „Dr. Esperanto, język międzynarodowy, przedmowa i podręcznik kompletny“. Podstawą nowego języka porozumiewawczego stały się słowa wspólne wszystkim językom i kulturom europejskim. Esperanto zawiera mniej więcej 60 proc. pierwiastków romańskich, 30 proc. germańskich, 10 procent słowiańskich. Statystyka, ułożona przez esperantystów, podaje, że gramatyki i słowniki esperanta istnieją w 40 językach europejskich, czasopism wychodzi około 120, literatura osiągnęła 2,500 tomów, przeważnie tłumaczeń; istnieje też wiele stowarzyszeń i związków esperanckich. Niektóre podejmują prace specjalne, jak np. Związek powszechny lekarzy, który pragnie wprowadzić

esperanto do słownictwa lekarskiego na całym świecie.

W konstrukcji i składni esperanto jest najbliższy może językowi angielskiemu. Pierwszymi esperantystami byli z natury rzeczy polacy, towarzysze i przyjaciele wynalazcy. Pierwsza rozmowa po esperancu odbyła się w roku 1888 w Warszawie między dr. Zamenhofem a p. Grabowskim. Ruch esperancki rozwijał się w Polsce stosunkowo dość słabo. Pierwszy klub esperancki powstał w Warszawie w r. 1903, drugi we Lwowie w r. 1906. W Warszawie istnieje Polskie Towarzystwo esperantystów, które wydaje własny organ, a posiada na prowincji liczne filje. Kilkanaście klubów istnieje w Galicji. Razem ma esperanto w Polsce około 2,000 stowarzyszonych. Polacy ogłosili wiele tłumaczeń z literatury polskiej. W Krakowie wychodzi od paru lat „Biblioteka dla propagandy esperanto w Polsce“.

Kongres krakowski jest ósmym z rzędu wszechświatowym. Pierwszy odbył się w r. 1905 w Boulogne sur mer, następnie w Gienewie, w Cambridge, w Dreźnie, w Barcelonie, w Waszyngtonie i Antwerpji. Obecny jest zarazem jubileuszowym, gdyż przypadł w 25-lecie utworzenia esperanta.

PRASA POLSKA.

— Nader charakterystyczne uwagi znajdujemy w jednym z ostatnich numerów zachowawczego „Kurjera Polskiego“. Organ p. Straszewicza stwierdza przede wszystkim, iż wobec bliskich już wyborów do czwartej Dumy „ogół trwa w bezwładności i, zdaje się, niema nadziei żadnej, aby się dał z niej wyrwać“.

„Przyczyna takiego stanu rzeczy jasna — wszyscy ją widzą, wszyscy się na nią zgadzają. Konstytucja nie ziszcila nadziei nieczyjej. Trzecia Duma pogłębiła naszą niedolę. Większość przedstawicieli narodu rosyjskiego zionęła nienawiścią do Polski. Szerokie warstwy społeczeństwa naszego, mając stosunki z władzami niższymi i najniższymi, nie widzą żadnej różnicy ani w treści, ani w formie postępowania dziś, a przed rokiem 1905-ym, kiedy nadano konstytucję.

Niema wątpliwości żadnej, że to jest przyczyna główna i wystarczająca“.

Po tem wcale interesującym na łamach pisma ugodowego stwierdzeniu faktów znanych i oczywistych, redakcja „Kurjera Polskiego“ przechodzi do scharakteryzowania „smutnego doświadczenia“, jakie kraj zrobił z postami dotychczasowymi:

„Sesja zamknięta — możemy mówić szczerze, ma my mówić szczerze. Chodzi o przyszłość, o poprawę

Większość, znaczna większość postów polskich z Królestwa, składała się z ludzi zapewne bardzo zajętych, ale którzy ani radzić nie potrafili, ani pracować nie umieli, ani przemówić nie byli w możności. Cały ciężar spadł na parę jednostek. Krajowi stała się ciężka krzywda. Powtórzę tego niewolno. Tymczasem słysząc, że niektórzy z tych figurantów mają być wybrani ponownie do IV-jej Dumy!“

Co gorsza, ci „figuranci“ nie zawsze chcą nawet dzielić z narodem jego dobrą i złą dolę:

„Kraju — pisze organ p. Straszewicza — nie mogą reprezentować ludzie, eo go rzucają dla kariery w szerszych sferach państwa. Jednego z tych zakrajowych przedstawicieli Polski słyszeliśmy w Warszawie przemawiającego publicznie — nie umie mówić po polsku. Przecież to skandal!“

Zdumiewające swą szerością wyznanie powyższe nasuwa „Gońcowi“ następującą uwagę:

Przyznajemy, iż nie wiemy, kogo „Kurjer Polski“ ma tu na myśli. Czyżby p. Ludomira Dymśkę, b. do-

centa uniwersytetu petersburskiego, lub p. Władysława Żukowskiego, znanego oddawna na gruncie petersburskim „chodatają“ do spraw finansowo-przemysłowych? Opinji krajowej należy się w tym względzie całkiem dokładne wyjaśnienie.

— „Prawda“, zastanawiając się nad apatją wyborczą, stwierdza, że

„U nas coraz wyraźniej ujawnia się w sferach do dotychczasowego Koła Polskiego zbliżonych dążność do zatrzymania mandatów w tych samych co dotąd rękach. Realisci i narodowi demokraci przy każdej sposobności usiłują dowodzić, że to, co robiono dotąd, zasługuje na pełne uznanie i ani ludzi, ani kierunku zmieniać nie należy.

„Z oburzeniem protestują przeciw pojawiającym się w prasie głosom, że należałoby spróbować, czy nie znajdują się i nie wyrobili z czasem nowi ludzie, posiadający więcej zdolności i powołania do roli reprezentantów narodu. Żadnych prób! Żadnych prób! to byłoby zbyt lekkomyślne i ryzykowne! — wołają“.

Słusznie wobec tego „Prawda“ zwraca uwagę, że dotychczasowa misja postów polskich była też tylko próbą i to bardzo niefortunna. Byłoby więc gorzej niż lekkomyślnością i ryzykiem, gdyby wbrew nauce doświadczenia wybierano ludzi, którzy w ciągu 5-ciu lat zawadzili pokładane w nich nadzieje.

Rozmowa z Azefem.

W „Matin“ paryskim ogłasza znany W. Burcew rozmowę, jaką miał w tych dniach z Azefem. Dowiedziawszy się, gdzie i pod jakim nazwiskiem ukrywa się Azef, napisał do niego, że chce się z nim zobaczyć, gdyż „jest rzeczą konieczną, aby wyświetlić zupełnie jego sprawę, która ma wielkie znaczenie polityczne“. Azef odpowiedział bezwzględnie, że sam pragnie tego wyświetlenia. Zapewniwszy się wzajemnie, że nie robią na siebie zasadzek, ułożyli spotkanie w dniu 15 sierpnia w kawiarni Bristol we Frankfurcie nad Menem. O przebiegu spotkania Burcew pisze co następujące:

„Gdy przybyłem na miejsce, kawiarnia pełna była ludzi. Przez chwilę szukałem napróżno oczami tego, którego mogłem uważać za swego wroga nieprzejednanego, który mi nigdy nie daruje tego, że go zdemaskowałem. Nagle w głębi sali podniosł się z za stołu człowiek wysoki i tegi, który mi się zaczął bystro przyglądać. Poznałem zaraz Azefa, pomimo pewnych zmian w jego wyglądzie.

„Po kilku chwilach kłopotliwego milczenia zaczęła się rozmowa. Zapewniwszy się, że jesteśmy sami i nikt nas usłyszeć ani zrozumieć nie może, Azef zaczął:

— Od tej nocy, kiedy uciekłem z Paryża, nie widziałem się z nikim, ani z ochrony, ani z partji. Czytałem nieraz w gazetach, że jestem na żołdzie ochrony. To nieprawda. Nigdy nie wracałem do Rosji. Pan jest pierwszą osobą, z którą rozmawiam, nie ukrywając tego, kim jestem... We wszystkim, co pisano o mnie, przedstawiano w świetle fałszywem moją osobę i działalność. Nie chcę umierać, zanim prawda na jaw nie wyjdzie. Muszę to zrobić dla moich dzieci. Powinny wiedzieć, kim jest ich ojciec...

„Gdy wyrzekł słowa: „moje dzieci“, zmienił wyraz twarzy i głos mu złagodniał. W czasie późniejszej rozmowy wracał kilkakrotnie do dzieci i za każdym razem zdawało mi się, że płacz stłu-

miony słycać w jego głosie. Zrozumiałem, że ten człowiek straszliwy myśli już tylko o swoich dzieciach i że na całym świecie one tylko dla niego istnieją.

— Chcę — mówił dalej, aby moi towarzysze... moi dawni towarzysze mnie sędzili. Dostarczę im dowodów na wszystko, co im powiem. Nie byłem nigdy ochrannikiem (okhrannik, jak pisze „Matin“), zawsze pogardzałem i nienawidziłem ludzi z ochrony. Wszystko, com zdziałał, robiłem dla rewolucji. Popelnilem głupstwo, uciekając z Paryża. W rozmowie z towarzyszami dałoby się było wszystko wyjaśnić... Ale nie mogłem... Wstydzilem się, miałem wyrzuty sumienia... Ostatnie, maczałem przecież we krwi ręce...

— To znaczy? — przerwałem.

— W roku 1908, niechcący i nie przywiązując do tego żadnego znaczenia, wymówiłem przed generałem Gierasimowem nazwisko Rasputinowej, zaczęto ją śledzić, wykryto spisek i powieszono ją...

„Czy zapomniał, że razem z nią pięciu rewolucjonistów zawisło na szubienicy? Nie wspominał nie o tem, jak gdyby miał sobie do wyrzucenia tylko śmierć Rasputinowej, która była matką dwojga dzieci.

„Mówił tymczasem dalej, a właściwie spowiadał się. Słuchałem go ze ściśniętym sercem. Opowiadał mi o całym swoim życiu, poczynając od tych dni już odległych, gdy, jako młody student, ofiarował usługi swe policji za 50 rubli na miesiąc. Podczas tego opowiadania wychodzą na jaw różne zdrady, liczne i okropne.

„Tłumaczy mi, że musiał zdradzać jednych, aby ratować innych, że należało krzyżować różne spiski, zwłaszcza urządzane poza partją — aby doprowadzić skutecznie do końca inne, jak naprzykład zamachy na Plewego, Wielkiego Księcia Sergjusza, admirała Dubasowa.

— Policja — mówił — wierzyła mi ślepo. Korzystałem z tego, wyprowadzając ją stale w pole, poświęcając jej tylko to, czego nie można było zamilczeć ani ukryć.

„Rozmowa nasza trwała już przeszło cztery godziny. Byłem wyczerpany. Przerwaliśmy ją i wznowili potem, po raz trzeci zaś dnia następnego.

„Opowiedział mi całe swoje życie, ze swojego punktu widzenia, naturalnie, przyrzekając jednak, w razie potrzeby, poparcie słów dowodami.

„Na początek, aby poprzeć swoje twierdzenie, że nie należy do policji od chwili, w której został zdemaskowany, pokazał mi listy Ratajewa, byłego kierownika policji rosyjskiej w Paryżu, Gierasimowa, byłego dyrektora policji politycznej w Petersburgu i t. p.

— Chcę, aby mnie sędzono! — powtarzał. — Chcę tego dla swoich dzieci. I przyjmuję z góry wyrok, bez względu na to, jaki wypadnie. Jeżeli to będzie wyrok śmierci, sam ją sobie zadam.

„Zanimieśmy się rozstali, wyznał mi, że gdy zdecydował się ze mną zobaczyć, choć niczego się nie obawiał, uważał za stosowne zrobić testament. Pokazał mi go. „Na wypadek mojej śmierci“, zaczął i pisał dalej, że ma się ze mną widzieć i w jakich warunkach. Dalej szły rozporządzenia co do dzieci i majątku.

„Rozmowa przeszła na sprawy pieniężne. Na początku stosunków z policją pobierał 50 rb. na miesiąc. Awansował potem na 100, na 500, ostatecznie zaś pobierał 1000 rubli na miesiąc.

„Gdy o tem mówił, spuścił głowę. Mówił z trudnością; liczby te go dusiły. Z trudnością panował nad wzruszeniem i powstrzymywał łzy“.

Na tem kończy się rewelacja Burcewa. Jak widzimy, mówi ostatecznie niewiele.

NA WIDNOKRĘGU.

Komunikat oficjalny, ogłoszony jednocześnie z wyjadem p. Poincarego z Petersburga nasunął prasie rosyjskiej pytanie, po co był właściwie ogłoszony i na co było układać szereg frazesów, pozbawionych treści, lub mówiąc ściślej, podkreślających to, co wszystkim było wiadome.

Sądząc z bardziej konkretnych informacji prasy zagranicznej wśród przedmiotów, poruszanych podczas narad petersburskich wybitne miejsce zajmowała sprawa stanu rzeczy na Bałkanach: nad tą sprawą nie tylko dyskutowano, lecz powzięto szereg decyzji. Niewiadomo tylko czy przewidziano nieoczekiwane wystąpienie hr. Berchtolda. Widocznie dyplomacja austriacka była lepiej poinformowana o tem, co się działo w Petersburgu, niż Sazonow o tem, co ma zamiar przedsięwziąć p. Berchtold. Można wywnioskować to z tego wrażenia, jakie wywarła wszędzie inicjatywa Austrii. Wszyscy przyznają, że było to niezwykle sprytnie pomyślane wystąpienie z punktu widzenia austriackich interesów inicjatywa, odebrana trójporozumieniu. Niemcy i Włochy podjęły już myśl Austrii i gotowe są popierać ją wszelkimi sposobami.

Lecz z drugiej strony i państwa należące do trójporozumienia zmuszone są obecnie liczyć się z wystąpieniem hr. Berchtolda, jako z faktem już dokonanym i wziąć go pod uwagę. Że Austrija, występując z bardzo popularnem na Bałkanach, hasłem, zdyskontuje swoją inicjatywę w sposób bardzo realny, o tem nikt nie wątpi.

Tym sposobem, gdy dyplomacja rosyjska urządziła pewnego rodzaju święto swoich zwycięstw, hr. Berchtold zainicjował przedsięwzięcie, które zaskoczyło rosyjskie ministerjum spraw zewnętrznych — zupełnie nieprzygotowane.

Od lat piętnastu, to jest od daty układu w Mürtzsteg w roku 1897, w którym Austrija z Rosją wyraziły sobie *promesse di non fare*, jak mówią włochy, Austrija zyskiwała dla siebie coraz większy wpływ na sprawy półwyspu Bałkańskiego. Rosja w tym czasie zajęta była planami ekspansji na Dalekim Wschodzie i straciła prestiż. Wynikiem tego była pamiętna wizyta p. Izwolskiego w Buchlau, gdzie ani on, ani zmarły hr. Aerenthal wzajemnie się nie zrozumieli, a wreszcie porażka trójporozumienia w kryzysie bałkańskim.

Na mocy nabytych praw i wpływów Austrija śmiała ręką sięga teraz po batutę dyrektorską w koncercie europejskim, zwoływanym przez nią nad łóżem „chorego człowieka“.

Jest to krok przeciw polityce trójporozumienia, a głównie krok przeciw Rosji. Oprócz Włoch, żadne z państw trójporozumienia nie odpowiedziało dotąd urzędownie na wezwanie hr. Berchtolda. Francja nie śpieszy się wyciągać kasztany z ognia dla swego sąsiada z za Alp. Niemcy nie udzieliły jeszcze odpowiedzi, ale ta strona kwestji jest mniej ważna. Największe wątpliwości powstają co do stanowiska, jakie zajmie Rosja.

Propozycja hr. Berchtolda byłaby idealnem, choć może tylko częściowem załatwieniem kwestji wschodniej, gdyby się ziściła.

Daleko prawdopodobniejszym wydaje się, że będzie powodem wybuchu zazdrości i spółzawodnictwa międzynarodowego w formie ostrzejszej, niż przedtem bywało.

KRONIKA.

= Położenie prasy.

„Rok bieżący — pisze „Riecz“ — jest jakiś wyjątkowy w życiu nawet naszej wiele cierpiącej prasy. Takiej obfitości kar pieniężnych i innych represji prasowych, nie widział jeszcze żaden rok naszej epoki konstytucyjnej. W ciągu pierwszych siedmiu miesięcy r. b. na redaktorów wydawnictw perjodycznych nałożono 198 kar na sumę 61,850 rb.

„Nie było ani jednego w życiu państwa wypadku, który nie odbiłby się karą prasową. Karano więc za artykuły o Hermogenie, Heljodorze i Rasputinie; karano za artykuły o działalności Muratowa, za doniesienia o wydarzeniach leńskich, za przedruki artykułów ks. Meszczerskiego, nawet za artykuły o stanie przemysłu na Uralu („Permiskij Kraj“). Specjalnie często zdarzały się kary za artykuły i wiadomości, dotyczące kampanji przedwyborczej. Np. „Jużnaja Zaria“ skazana została na 300 rb. kary za artykuł o działalności agitacyjnej nacjonalistów, „Nasza Zaria“ — za artykuł o nastrojach przedwyborczych. Za taki sam artykuł skazana została „Zadonskaja Riecz“ i t. d. O tej intensywności, z jaką nakładano kary na wydawnictwa perjodyczne, sędzić można z tego, że niektóre organy prasy poddane zostały karze 8 razy („Kijewskaja Myśl“ 2,400 rb.) i „Prawda“ 5 kar — 2,300 rb. „Kurjer Lubelski“ 4 kary — 1,400 rb., „Riecz“ 5 kar — 2,250 rb., „Sowriemiennoje Slowo“ 4 kary — 1,700 rb., „Russkoje Slowo“ 4 kary — 1,600 rb. Wskutek tych kar niektóre gazety przestały wychodzić. Kilkudziesięciu redaktorów odsiadywało więzienia.“

= Przed wyborami.

Ministerjum spraw wewnętrznych otrzymało od 32 gubernatorów raporty, zawierające obfity materiał dotyczący wyborów. W raportach wskazano iż ludność interesowała się III-ą Dumą tylko w czasie piarwszej sesji, obecnie zachowuje się bardzo indyferentnie. Większość raportów podkreśla, iż nacjonałści i październikowcy z III Dumy mają mało szans na powtórny wybor.

= Nowa ustawa studencka.

W paru pismach petersburskich ukazała się wiadomość o opracowaniu przez ministra oświaty „specjalnej ustawy studenckiej“. W myśl tego projektu wszyscy młodzieńcy, wstępujący do szkół wyższych, uważani będą na równi z urzędnikami za pozostających na służbie państwowej. Studenci nie tylko nie będą wnosili żadnej opłaty za prawo słuchania wykładów, ale każdy z nich otrzymywać będzie specjalną zapomogę w formie pensji miesięcznej z tym warunkiem, że zapomoga ta, po ukończeniu uniwersytetu i otrzymaniu posady, ściągana będzie ratami z pensji dłużnika, jako zobowiązanie bezsporne. Ponadto wszyscy studenci składając będą musieli zobowiązania na piśmie, że dopóki pozostawają w uniwersytecie i korzystać z zasiłków rządowych nie będą wcale mieszać się do życia politycznego. Opracowanie tego projektu powierzone zostało specjalnej komisji, która szczegóły swej pracy trzyma w najściślejszej tajemnicy.

= Spożycie wódki.

Główny zarząd podatków niestających skarbowej sprzedaży trunków opracował sprawozdanie finansowe za r. z.

Ogółem w 65 gubernjach i 10 obwodach Państwa Rosyjskiego w r. z. było 2,935 gorzelni, 564 rektyfikacje i 26,234 sklepów monopolowych.

Wódki sprzedano 91,650,236 wiader t. j. o 2,107,789 wiader więcej niż w r. 1910.

Najwięcej wódki zużywano w gub. moskiewskiej i petersburskiej (po 1 i pół wiadra z górą na jednego mieszkańca), najmniej w gub. łomżyńskiej, płockiej i suwalskiej (po 1/5 wiadra na osobę).

Wogóle mniej pito w r. z. w gubernjach dotkniętych nieurodzajem.

Dochód czysty skarbu ze sprzedaży wynosi 597,645,785 rubli (o 23,190,133 rb. więcej niż w r. 1910).

Dochód ten przewyższył przeciętny dochód skarbu z wódki w okresie poprzedzającym wprowadzenie monopolu skarbowego o kolosalną cyfrę 303,848,855 rb.

Spirytusu skażonego sprzedano za 3,599,025 rb.

Książki drukowano w 5 językach, najwięcej w języku rosyjskim i polskim.

Po polsku wydrukowano 5,700,000 egz. na sumę 1,175,000 rubli.

= Rezygnacja p. Kunetickiej.

Między stronnictwem młodoczeskiem a p. Kuneticką, która została wybrana na posła do Sejmu jako kandydatka tego stronnictwa, wybuchł w ostatnich dniach zatarg na tle zarzutu zbytniego kokietowania z partją narodowo-socjalistyczną. Młodoczesi zarzucają p. Kunetickiej nietakt, popełniony przez to, że przemawiała na zgromadzeniu tego stronnictwa. Według ostatnich wiadomości z Pragi, p. Kuneticka zamierza z powodu tego zatargu złożyć swój mandat, który — dodać należy — nie został jeszcze zatwierdzony.

= Statystyka wydawnicza.

Główny zarząd do spraw prasowych obliczył, ile książek wydrukowano w obrębie państwa rosyjskiego w r. z. W roku 1911 wydrukowano 109,990,500 egzemplarzy różnych książek wartości 35,212,098 rb. 85 kop.

Najwięcej drukowano książek ludowych (prawie 22,000,000 egzemplarzy) i szkolnych (około 20 milionów). Dalej idą dzieła religijne (10,000,000 egz.). Beletrystyka liczy 9,000,000 egzemplarzy).

W r. 1911 najwięcej książek wydrukowano w Petersburgu i Moskwie, Kijowie i Warszawie.

W Warszawie wydrukowano 7,127,877 egzemplarzy, wartości 1,622,584 rb. 35 kop.; w Wilnie 2,234,010 egz. wartości 846,152 rb.; w Kijowie 4,820,137 egz. wartości 1,974,120 rb. i t. d.

Sprostowanie.

Do artykułu „Metodyka krytyki literackiej“ w № 32 wkrađ się, dzięki nieuwadze korektora, błąd fatalny, który niniejszem prostujemy. Mianowicie autorem „Podróży do „Ciemnogrodu“ był Stanisław Potocki, nie zaś Ignacy, jak wydrukowano.

Książki nadesłane do Redakcji.

Ludwik Kulczycki. Ugoda polsko-ruska. Lwów 1912.

Treść numeru.

Efemeryczne kłęski — * * *

Listy z Warszawy — P. M.

Po wyborach belgijskich. — St. Posnera.

Nastroje zachodu. — R.

O języku ukraińskim.

Kosiarz — T. Szewczenki.

U źródeł twórczości — E. Weisberga.

Przeгляд piśmienniczy — W. G.

Sztuczne języki wszechświatowe.

Rozmowa z Azefem.

Prasa polska. Na widnokręgu. Kronika.

Odcinek: „Marja Magdalena“ — G. Daniłowski.

NAJSTARSZE BIURO
NAUCZYCIELSKIE

Malwiny Bagińskiej

Wilno, Żandarmski 7.

Poleca nauczycielki, nauczy-
cieli; bony polki, cudzo-
ziemki.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“

tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z korzeniem

Informator Handlowy.

BIURO PRZEPISYWAŃ
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.
POŚPIECH I DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

T. KRZYŻANOWSKI

Wilno, Bonifraterska (Preobraż.) № 8.
Obuwie gotowe i na obstalunek.

St. Stefanowski

i J. Marciniak

Pracownia kostjumów, okryć oraz futer
damskich

Wilno, ulica Wielka № 20a.

KSIĘGARNIA

KULTURA Wilno,
Dominikańska 14.

PRENUMERATA PISM.

Wszelkie nowości.

- a) Najtańsze taryfy. Nieumarzalność polis.
b) Drobne ubezpieczenia od 100 rb.
c) Opłata premji miesięczna.

Ubezpieczenia rent,
posagów,
k pitałów,



PIERWSZE KRAJOWE T-wo UBEZPIECZEN
„PRZEZORNOŚĆ“
UBEZPIECZEN NA ŻYCIE I OD NASTĘPSTW WYPADKÓW.



Kapitał zakładowy
i rezerwowy
7.000.000 rb.

Zarząd Okręgu Mińskiego:
Mińsk Lit., Sierpuchowska 8.

Ajentyury we wszystkich miastach. Taryfy i prospekty
na żądanie — bezpłatnie.

GIMNAZJUM ŻEŃSKIE

z prawami zakładów rządowych dla uczenic i pensjonat

Emilji Lichtarowiczówny

Ryga, Elisabeth Str. 14-a, róg Suworowskiej.

Początek zajęć i egzaminy wstępne do wszystkich klas z wyjątkiem 6 i 7 —
20 sierpnia st. st. Otwiera się klasa 8.

Stosownie do rozporządzenia Ministeryum Handlu i Przemysłu, aby na
etykietach strony medali nie były umieszczone oddzielne obok siebie, a zacho-
dziły krawkami jedna na drugą odtąd opatrujemy nasze wyroby etykietą, zmienioną
o tyle że krawki medalu górnego zachodzą jeden na drugi.

Wobec nieporozumień, jakie wywołała zmiana na naszej etykiecie wśród
kupujących, podajemy powyższe objaśnienie do wiadomości Szanownej Klijenteli,
polecając nadal nasze wyroby.

Z poważaniem

Ferd. Bohm & Co

PAROWA FABRYKA CYKORYI

egzystująca od 1816 roku.

TRYPPEER HONORRHEE, RZEŻĄCZKĘ i UPLAWY
w OSTRYM i CHRONICZNYM OKRESIE

szybko i radykalnie usuwa całkiem nieszkodliwy środek (dla użytku
wewnętrznego)

„TIELERIN“

Doktora medycyny uniwersytetu gienewskiego E. Gorochofskiej

Cena zwykłej flaszki (na 10 dni)—1 rb. 75 k. i podwójnej —3 rb. bez przesyłki.

Szczegółowy przepis przy flaszce. Ekspedycja za zaliczeniem pocztowem.

Adres: Д-ру мед. Э. М. Гороховской, Москва, Срѣтенна, Даевъ пер. б. 1-23, кв. 3.

Dostępna dla każdego możność zakupuienia działki gruntu

w najlepszej dzielnicy Wilna, w „Zwierzyńcu“. Miejscowość ładna i zdrowa:
stary las sosnowy, rzeka Wilja. Ceny niskie, warunki dogodne na raty długoter-
minowe. Szczególniej dogodne i tanie są działki gruntu nad rzeką.

Zwracać się należy do biura parcelacyjnego: Wilno „Zwierzyniec“. Ul. Giedymi-
nowska 32. Telefon № 46.